

PLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 4 KWIETNIA 1931 ROKU

NR. 14.

TREŚĆ NUMERU: Zmartwychwstanie dusz — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Maryla ma piękny lic — *Juljan Wołoszynowski*. Poezje: „Mazurki“, „Mąż“, „Na rezurekcji“, „Pustka“ — *Lucyna Krzemieniecka*. W drodze do Jeruzalem... — *Ewa Szelburg*. Pożegnanie Marji z Synem — *K. Bielańska*. W pociągu — *Wanda Grabińska*. Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *S. P. O.* Tam, gdzie umęczon był i zmartwychwstał Zbawiciel Świata. Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Jak jest, a jak będzie — *Wanda Dobrzańska*. Jak wypocząć przez święta — *W. B.* Wielkanoc dawniej a dzisiaj — *Pani Elżbieta*. Tykwa — *Marzena Saryusz-Stokowska*. Szparagi zółkną — *Stan. Schönfeld*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“: Jedwabie na wiosnę i lato — *Well*.

*Wszystkim naszym Czytelniczkom, Współpracowniczkom
i Przyjaciółom naszego pisma przesyłamy tradycyjne
życzenia wielkanocne: Wesolego Alleluja!*

ZMARTWYCHWSTANIE DUSZ

Każdy człowiek musi mieć jakąś wewnętrzną odskocznnię, żeby móc się życiowo wybić, albo moralnie wzbicić ponad przeciętność. Inaczej będzie zawsze pełzał, zagubiony w przyziemnej wegetacji małosłownych kłopotów, drobnych uciech, niedorozwiniętych pragnień. Tą odskocznnią wewnętrzną może być jedna z trzech sprężyn uczuciowych człowieka, poprostu mówiąc, jedna z trzech katechizmowych cnót teologicznych: wiara, nadzieja, miłość. I to w jak najszerszym, nietylko religijnym zakresie.

Wiara w Boga, wiara w ludzkość, w ojczyznę, w ideę, w zwycięstwo sprawiedliwości, w człowieka, w sztukę, w siebie, w ukochaną jednostkę, w przyszłość swoich dzieci... Wiara, która musi łączyć się z nadzieją w jej urzeczywistnienie, musi rodzić miłość, albo sama być z niej poczętą. Inaczej jest martwa. Tylko te trzy pierwiastki, razem złączone, dają w sumie pełnię uczuciową człowieka. Eliminowanie jednego z nich wywołuje kalectwo duchowe.

Wiara bez miłości stwarza fanatyków, inkwizytorów, okrutników i despotów.

Sanhedryn był wierny literze Starego Zakonu, ale nie znał miłości i miłosierdzia. Piotr Wielki wierzył w siebie i w przyszłą potęgę narodu rosyjskiego,

ale go nie kochał i dlatego naród ten ustami jednego z największych swych pisarzy nazwał go „Antychrystem“.

Miłość bez wiary i bez nadziei — to bezpłodna egzaltacja. Czyni ona z człowieka całopalną ofiarę na ołtarzu fetysza. Tak spalają się w ogniu nieodwzajemnionej miłości beznadziejni kochankowie, egzaltowane matki i żony, poświęcające całe życie obojętnym mężom i dzieciom, bez przekonania o pożytku i celowości swej ofiary.

Miłość i wiara bez nadziei stwarza tragicznych bohaterów, którzy umieją tylko zginąć dla idei, nie mogą dla niej żyć. Uczestnicy powstania 63-ego roku chwycili za broń w imię miłości ojczyzny, z wiarą w słuszność swej sprawy, bez nadziei zwycięstwa. Byli tragicznymi męczennikami idei. W roku 1831 prosty żołnierz przerósł wodzów wiarą w siebie i nadzieją zwycięstwa—racjonalistyczna, kunktatorska miłość ojczyzny lub miłość własna zgasła wiarę wodzów w możliwość powodzenia i oślepiła ich oczy na niezaprzeczalne wartości podległego im wojska.

Oto są na chybił trafił wybrane przykłady tragedij indywidualnych i dziejowych, wynikających z braku równowagi między temi trzema elementami

uczuciwami, z których każdy może mieć twórczą, lub niszczącą moc żywiołu.

Ta niszcząca moc dochodzi do najwyższego napięcia w chwili, gdy z jakichkolwiek powodów zabraknie nagle w mechanizmie duchowym człowieka jednego z tych motorów, przedtem normalnie pracujących: wiary, nadziei lub miłości. Jakby ktoś kółko wyjął z maszyny w ruchu. Jej bieg ulega przerwaniu; czasem, jeżeli tempo było zbyt gorące, następuje katastrofa. Człowiek nie tylko stracił odskocznnię moralną, ale i grunt pod nogami. Otwiera się przed nim przepaść. Czem ją zapełni? Nie ma już wiary, nie ma nadziei, nie ma miłości...

Pozostał bunt, rozpacz, zniechęcenie, wstręt do życia, apatja... Nie warto żyć. Im bogatsza indywidualność, tem większe bankructwo, im większe napięcie uczuciowe, tem silniejsze bywa załamanie; im wyższa skala pragnień, tem głębsza otchłań rozpacz. Święci wyznawcy przechodzili najdotkliwsze pokusy zwątpienia, nieznane naiwnie wierzącym prostaczkom; geniusze targani byli mękami niewiary we własne siły; najgorętsi miłośnicy i miłośnice ileż razy przeklinali przedmiot swego ukochania! Czyż można sobie wyobrazić większą mękę od męki Hioba, głębszą otchłań upokorzenia, jak duchowe i fizyczne konanie Napoleona na wyspie Świętej Heleny, krwawszy ból miłosny od śmiertelnej rany Gustawa?

Na ich monumentalnych, unieśmiertelnionych przez Pismo Święte, historję i poezję przykładach widzimy, że największym złem, jakie człowiek człowiekowi może wyrządzić, jest krzywda na duchu. Zabić komuś wiarę, odebrać wszelką nadzieję, sprzeniewierzyć lub splugawić miłość, — kto wie, czy to nie gorsza zbrodnia, niż zadać śmierć fizyczną, kalectwo, skrzywdzić na dobrej sławie lub majątku. A ileż na tem tle wyrasta ludzkiej i dziecinnej niedoli, ile samobójstw, notowanych skwapliwie w dziennikach, ile złamanych istnień, kulejących incognito po świecie, ileż bezimiennych tragedj, których nikt nie rejestruje, chyba Bóg wnosi do nieoficjalnego martyrologium dusz w niebie, a jakiś nieznany poeta w koślawych rymach grzebie na ziemi.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład. Pewien dwunastoletni chłopczyk targnął się na swoje życie. Kiedy go uratowano i zapytano o przyczynę samobójstwa, odpowiedział: — Matka mnie nie kocha! — Skąd wiesz o tem? — Bo sama poszła z rodzeństwem na spacer, a mnie kazała iść oddzielnie.

Matka z trudem przypomniała sobie: ten fakt istotnie zdarzył się sześć lat temu. Przez sześć lat dusza dziecka samozatruwała się jadem krzywdy. I nikt o tem nie wiedział! Ileż trzeba czułości, ilu dowodów prawdziwego uczucia, żeby zagoić ranę, która jątrzyła się tak długo, żeby przywrócić życiu i radości duszę dziecka, która cierpiała tak głęboko, że chciała przestać żyć! *).

Jednym z najcięższych zawodów życiowych jest

utrata wiary w to, co się najmocniej kochało, wszystko jedno, czy to jest idea, fikcja, czy jednostka. Dla natur męskich najtragiczniejszą jest utrata wiary w siebie; dla kobiecych — utrata wiary w ukochaną istotę. (Podkreślam: nie dla *mężczyzn i kobiet*, ale dla *natur męskich i kobiecych*). Najgorętsza miłość może się wówczas przerodzić w nienawiść, kult w pogardę, zachwyty w obrzydzenie. Budzi się w zawiedzionym osobniku odruchowe pragnienie: — Lepiej byłoby, żeby umarł! — Pozornie okrutne, a jednak tak bardzo ludzkie i takie zrozumiałe. Śmierć fizyczna jest przecież mniejszym złem od śmierci moralnej. I czyż nie łatwiej kobiecie oplakiwać zmarłego bohatera, niż grzebać we własnej duszy zdemaskowanego pajaca, lub, tyjącego na ludzkiej krzywdzie, pasibrzucha?

Dogmat religijny każe nam wierzyć w zmartwychwstanie ciała, ale czyż nie trzeba aż prawie boskiej mocy, aby powołać z powrotem do życia duszę, którą ugodzono w samo serce?

Z dwojakiego źródła może spłynąć na taką wpół umarłą duszę balsam wskrzeszenia. Od zewnątrz i od wewnątrz. Z inicjatywy innych, czy z własnych zasobów. Z ręki bliźniego, przez jego miłosierdzie i czynną pomoc, czy mocą własnej woli do życia. Na gruzach obalonej wiary wyrasta nowy kult. Na zgłiszczach spopielałej miłości zapala się nowe ukochanie. Dusza ludzka wytrzymała jest od ciała. Rozcięta, zrasta się, jak wąż, choć krwawi obficie. Złamana, podnosi się ku niebu, i zieleni się, rośnie, choćby krzywo. Aby tylko niebo i słońce było ponad nią.

A im więcej ma blizn na sobie, tem odporniejsza jest na dalsze pociski. Każdy nowy zawód, świeży cios — to niby jeszcze jeden krzyż walecznych, którym zbrojna, idzie śmiało na nowy bój za przykładem Boskiego Wodza cierpiących, który od wieków codzień dźwiga swój Krzyż na Golgotę.

Tak pojęte cierpienie nie zubaża naszej duszy, ale ją wzbogaca. Nie poniża, ale uszlachetnia. Nie odziera z szat, ale wieńczy. Nie podcina nóg, ale uskrzydla ramiona.

Lecz żeby je uczynić istotną naszą zdobyczą i dorobkiem, trzeba umieć je opanować. Trzeba posiadać prawdziwą kulturę cierpienia. Trzeba mieć siłę powiedzieć sobie: „Z każdego mego bólu uczynię coś pięknego!“.

To nie poza — to twórczość, to pierwszy szczebel do doskonałości, to walka, jaką wypowiadamy śmierci.

Albowiem najwyższym zwycięstwem człowieka jest zabić śmierć w sobie. Tym czynem daje świadectwo prawdzie, że, aczkolwiek słaby, nędzny i znikomy — stworzony jednak został na obraz i podobieństwo Syna Bożego, który umęczony był i zmartwychwstał.

Stefanja Podhorska-Okolów.

*). Jeden z faktów, przytoczonych przez p. Irenę Solską w jej odczycie „Bunt czy koleżeństwo?“.

JULJAN WOŁOSZYŃSKI.

MARYLA MA PIĘKNY LIC

(fragment rozdziału z powieści „Rok 1863“ *)

Świtało.

W zaroślach, stojącym żołnierzom na pikietach lub wysyłanym na rekonesanse, śpiewały wdzięczne makolągwy, zięby i szczygły. Tokowały miłośnie głuszcze, nie słysząc jakgdyby wcale, że w lasach latał niemal nieustannie tyraljerski lub rotowy ogień; wystawiały nieprzytomnie pod kule swą fioletowo-zielonkawą lśniącą pierś w najwcześniejszych godzinach świtu. Takie świty rozmarzały żołnierza niepotrzebnie, rozklejały go i demoralizowały, — gdy zmysłowy dźwięk głuszcowego klaskania, jakoby ludzkich echo pocałunków, rozlegał się w porannej leśnej ciszy, z początku bardzo nieśmiało, powolnie i cichutko, potem coraz to szybciej, namiętniej, nerwowiej i głośniej, wreszcie stawał się syczącym prądem, oszalałym, nieprzytomnym, jak syk noży, jak miłość sama, jak ostrzenie śmiertelnych kos. W takich świtach (a żołnierz stał na placówce) na polanie cietrzewie zaczynają swe miłosne balety, roztaczają szeroko swe lirowate ogony brązowe o dwóch białych pręgach, opuszczają skrzydła, czarne pióra z połyskiem szafirowym odymają, tańczą szalone tańce; bełkot ich muzyczny jest im taneczną muzyką, podskakują do góry, opadają, krzeszą dziwne hołubce nóżkami, uderzają nóżkami o skrzydełka...

Zwyciężywszy krwią pod Małagoszczem, Polacy wstecz poszli na Pieskową Skałę i na Skałę. W bitwie pod Skałą, na cmentarzu, w noc marcową, przy pełnym księżycu, padł zabity oficer Potiebnia, Rosjanin, walczący w szeregach powstańczych a przysłany z Londynu przez Hercena, w celu porozumienia organizacji „Młoda Rosja“ z rewolucyjnym Rządem Narodowym. Langiewicz w tej bitwie został ranny w nogę.

6 marca weszli do Goszczy i stanęli obozem, zatrzymali się na dłuższy postój w Goszczy, u samej granicy galicyjskiej. Do Goszczy przybyła kurjerka z Warszawy. — W Krakowie odbywał się zjazd delegatów komitetów narodowych z Krakowa i Lwowa, przy udziale wysłańców Rządu Tymczasowego z Warszawy. Postanowiono władzę dyktatorską oddać w ręce Marjana Langiewicza. Dyktaturę motywowano koniecznością utworzenia rządu jawnego. Langiewicz wydał odezwę dyktatorską. Langiewicz naprawdę uwierzył, że Rząd Narodowy w Warszawie ustąpił. — Do Goszczy przyjechał z Szujskim, wioząc z Krakowa broń i amunicję do obozu, młodzieńcki malarz Jan Matejko. Po powrocie do Krakowa, jak mówiono, „Matejko wspominał z drzeniem w głosie, że w chwili, gdy obóz ten zobaczył, zrozumiał, jaki będzie koniec wszystkiego, i ufności już nigdy nie odzyskał“. Ten krótki pobyt młodego malarza w powstańczym obozie Langiewicza stworzył drugą koncepcję „Polonji“.

Z Goszczy poszedł powstańczy korpus przez Słomniki do miasteczka Sosnowki. W Sosnowce nowy dyktator składał podczas mszy polowej przysięgę na wierność ojczyźnie i narodowi. Dyktator przysięgał w Sosnowce na polanie, wśród gęstego lasu, przed polowym ołtarzem, wobec wojska stojącego w czworobok. Langiewicz, przybrany w szarfę trójkolorową, wsparty na pałaszu, stał u ołtarza, w otoczeniu sztabu. Langiewicz wznosił do góry prawą rękę i mówił słowa przysięgi. Podczas przysięgi Langiewicza ukazała się na niebie, wśród pełnego słońca, tęcza trójkolorowa w kształcie wieńca. Uważano to za dobrą wróżbę. Podczas przysięgi, na gałęziach drzew śpiewało upojną pieśń wiosenne ptactwo. Dyktator Langiewicz mianował Jeziorańskiego generałem dywizji z przeznaczeniem do sztabu, Czapskiego generałem kawalerji, Waligórskiego generalnym kwatermistrzem, Winnickiego w stopniu pułkownika intendentem, Czachowskiego i Dąbrowskiego pułkownikami, Bentkowskiego Władysława szefem sztabu. Oddział, korpus — armja Langiewicza liczyła do 7000 ludzi.

Z Sosnowki ruszono dalej marszem na Marchocice, na Kalinę Wielką, na Giebułtów, na Zaruszyń, do Chrobrza, majątku Wielopolskiego.

Korpus powstańczy dyktatora, generała Marjana Langiewicza, rozciągnięty z taborami na długą przestrzeń drogi, wił się górkim wąwozem, jak wąż leniwie się poruszający. Pełził wiosenną krakowską ziemią, w kierunku na Miechów i na rzekę Nidę. Ukazywały się pod kopytami pomęczonych koni i pod dziurawym butem pieszego powstańca drobne, nieśmiałe listeczki delikatne, świeże, wynikające nagle z pod śniegu i z pod ściółki zeszlórocznych zgniłych pomarłych liści. Spotykały wojska pod nogami przylaszczki fioletowe i pierwsze, bezwonne jeszcze fiołki. Zaczynały im w powietrzu brzęczeć jakieś pierwsze owady i muszki pod nosem, gdy wchodzono zwłaszcza na wilgotne odkryte rozłogi. Różowiły się gdzie niedzie pod kołami obozowych wozów blade zawilce jaskrowate, roślinki, tak samo jak ten żołnierz, wiecznie wędrownie wśród leśnych zarośli i łąk.

Dyktator Marjan Langiewicz jechał bryczką z adjutantem swym, Henryką Pustowojtow. Misjonarz, ksiądz Paweł Kamiński, kapelan obozowy, jechał w następnej bryczce, wraz z szefem sztabu korpusu a ministrem spraw zagranicznych dyktatora, Władysławem Bentkowskim, oraz z szefem intendenty, pułkownikiem Tomaszem Winnickim, byłym

*) Powieść „Rok 1863“ ukaże się w najbliższym czasie w wydaniu książkowym.

członkiem Komitetu Centralnego. Jechali wśród leszczyń kwitnących, po zboczach górskiego wąwozu, wśród siwej powodzi żółtoburych kotek.

— Nie było nas, a las ten był... nie będzie nas, a las ten będzie... — marzyła Henryka Pustowojtow. — Zakosztowałam wojny, — mówiła w rytmie kół. — Słońce wschodzi i zachodzi, rosa oczy wyjada. Od boru do lasu, od źródła do rzeki, i tak dalej, i tam dalej, dalej, — mówiła w takt wielkiej ilości kopyt końskich i butów maszerujących pochodem. — To z tej strony wiatr zawieje, to z tamtej; brniemy dziś w błotnych piaskach albo w błocie, wciąż naprzód, naprzód, a wciąż jak z motyką na słońce. Przepadają nam wojska, jak kamienie w wodę, zato ci, co jeszcze z nami żyją, poczynają już sobie do kożucha kwiaty wiosenne przypinać. Generale, spójrz tylko, jak to wojsko wygląda boso!... Wiatru nie ukruszymy, śniegu nie osuszymy... Wyglądasz, generale, jak Piotrowin, jak śmierć sama! Nie wytrzymasz bez odpoczynku... Poco ludzić się, generale? —

Bóg, ziemia, czas lat nie policzy — jechali bryczką obok siebie dyktator Marjan Langiewicz i adjutant jego, z lewej od niego w bryczce strony, panna Henryka Pustowojtow. Niebo, ziemia, wiatr i noc — jechali tak, otoczeni powstańcem wojskiem, na jego czele. Miesiąc i gwiazdy — jechali przez ziemię krakowską, pomiędzy jedną bitwą a drugą, mogąc zaledwie parę słów zamienić ze sobą. Wiatr — marcowa pogoda przenikała ich wiosennym chłodem, wilgocią, febrą. Wiarra — czyż wierzyli? Życie — wyrzekali się jego głośno; może każde z nich sam na sam z sobą żałowało już tych wyrzeczeń. Śmierć — tej jednej wciąż patrzyli w oczy, aż się do niej przyzwyczaili. Śnieg — padał jeszcze od czasu do czasu, zanim deszcz go zmieniał. Rosa — oto zaczynała się w przyrodzie ukazywać na ziemi, na budzącej się z wiosną roślinności.

Zmierzchało.

*

Przez małe okienko wpadały ostatnie blaski marcowego zachodzącego słońca. Załamywały się na rysach pękających glinianych ścian. Na kominie palił się ogień, obok stał bielony duży piec z szerokim przypieckiem. Z drugiej strony stała szafka, na niej poukładane miski, talerze i naczynia rozmaicie malowane. Pod ścianą białe wysokie łóżko z pierzynami i śnieżnemi w powłóczkach lnianych poduszkami. Pod pułapem wisiał pęk ziół zeschniętych.

Na stole leżał kawałek lusterka i w nim to zobaczył Jan Worobijowski połamane odbicie swej twarzy. Zauważył, że zmizerniał bardzo i że jest wogóle do siebie niepodobny.

— Dzień niedzielejsy ma się ku zmrokowi...

Stała przed nim kobieta młoda; zamężna, bo z włosami przystrzyżonemi do połowy szyi. Przyniosła z sobą na blaszanej tacy placek pszenny, ser biały, wianek kielbasy, wysoki szklany kieliszek i butelkę

wódki. Ułożyła to wszystko na stole i zaprosiła delikatnie:

— Posilcie się przed drogą.

Miała na sobie dziś katankę krótką, czarną, aksamitną, w rozchodzące się u dołu kołem kalitki faldziste i od wysmukłej ściśniętej kibici odsadzające się, a obszyte czerwoną oblamówką; każda kalitka taka była spięta na perełkę. Piersi miała wyszyte blaszkami i kolorowemi kamyczkami, że świeciły się jej i mieniły za każdym głębszym odetchnieniem. Miała czarną z wełny owiec czarnych spódnicę, przepasaną białą z muślinu zapaską. Na wysokich, wysmukłych nogach miała czarne buciki na obcasach i z podkówkami, oraz białe wełniane pończochy. U koszuli z lnianego płótna miała kryzkę z koronek białych, prawie jak Marja Stuart po krakowsku, a na szyi śniadej ciężkie grona białych czerwonych koralii.

Przywidziała mu się dziwnie piękna. Nie mógł inaczej jej żegnać, niż jak „panią“.

— Przepraszam... rzekł. — Przepraszam, że wszedłem tak wtedy po żołniersku, nieproszony...

— Dyć ledwo dyszący i omglały!

— Ale znaleźliście w swej chacie kąć i opatrunek dla rannego...

— Ile tyle, żeby ino...

Na jej podnoszących się oddechem równych pierśiach, wśród gron czerwonych koralii, poruszał się nieznacznie czarny szkaplerz, a na palcu serdecznym błyszczała srebrna obrączka.

— Śminać się a potem nie napotkać... — pomyślała, lecz co innego głośno powiedziała: — Mówiom, co się to wsyćko na nic nie przyda, to powstanie czy jak? — — Taki był mryz bez całutką dzisiaj noc, co gonty na dachu tak strzylały, tak trzaskały, jakby w fuzyje biu! a biu!...

Przywidziała mu się taka śliczna, niby jaka z rumianemi jabłuszkami jabłoneczka. Suknia na niej jak na pani, prawie że jedwabna. Chciałby stać się tym siwym kaczorem, co popłynął sobie bystrem jeziorem, chciałby mieć teraz takie sidełka, żeby złapać tę kaczkę za skrzydełka; żeby ona wedle niego siadła, jego miłą żeby ona była, jego wolę tę uczyniła...

— O kiel mil wam jechać?

— Do lasa, do swoich, gdzie dola żołnierska zdarzy!

— Oj dola, dola... — Przeżegnała go krzyżem świętym: — A ma-ta Pan Jezus was w swojej opiece...

Już kary Jana koń osiodłany grzebał białą nóżką.

— A wam czego życzyć?

— Syćko mi jedność, syćko mi równość, — odparła stając przy oknie i patrząc w deszczowe na szybie okienka krople. W ten deszcz się zapatrzyła łzawy.

Odjechał. Jak się nazywał, a kim był? pytała siebie. Chyba strzelcem, chyba konnym strzelcem: uspokajała swe serce. Miał wszystkiego po trochę: konia karego, czamarkę siwą, burkę rudą, szaszek kozac-

ką zlaną, przez ramię myśliwską dwururkę, a oczy takie czarne. Stała długo u furty, na deszczu.

Dobra nocka, dobra; wiosna się zaczyna. Marzec następuje; drobnym deszczem, ciepłym deszczem kropi leśnym żołnierzom za kołnierz. Szumi wietrzyk, szumi, zgina się leszczyna. W kotły biją, w trąby grają, wciąż na wojenkę, na tę niedaleczką. Karabinek w ręce, mundur ze ślifami... Jadą wozy za wozami, z żołnierzami... Jedzie żołnierz szerokim gościńcem w świat szeroki, wszystko przed nim i wszystko dla niego. Oto płynie przed nim bystra rzeczka, tam ścieżyna go wiedzie do boru. Koniczek pod nim zhasany, aż do piany

biały cały — choć był dotąd jak noc maści karej. Łasy, góry i pola zazielenią się może niedługo, może także tych błędnych żołnierzy kto pokocha? Co na wojnę pojechał — temu lepiej: albo zabili go, albo powróci kiedyś...

*

I tak, jadąc na Skalmierz, natrafił Jan Worobijowski na tren korpusu Langiewicza. Zameldował się jako rekonwalescent.

17 marca przybyli do Chrobrza.
Zastali już korpus na kwaterach.



LUCYNA KRZEMIENIECKA

MAZURKI

*Upiękniała matka barwiste mazurki —
patrzy na nie z troską i marzy:
czy aby będą dość smakować córeczce
i mężowi o chmurnej twarzy?
Rozwiesza matka w mianuszkach widłaki,
rozkłada borówczane listki.
Czy aby będzie dość zielono, radośnie
mężowi, córeczce — jej wszystkim?*

M A Ż

*Przyszedł mąż: filozof, ateista —
w domu było ciasto i serweta czysta.
Spojrzał wokół, wzrok miał zmęczony.
Ucałował czulej dłoń naiwnej żony.
Nerwowymi palcami przebierał leśną zieleń —
myślał: taki drobiazg, a przecież tak wiele...*

NA REZUREKCJI

*Wydeptane kościelne schody,
umęczone, tysiączne kroki
i ten gróźdź w Twojem ciele, Chryste,
i ten spokój w Twym sercu głęboki.
Takie ciche, wciąż cichsze organy —
modłów tyle w Twym Bożym domu:
tam za progiem już nikt nie pozostał,
tylko Ty jeszcze możesz nam pomóc.*

PUSTKA

*W wynajętym pokoju
obcy ze świata przybysz
stają przy drzwiach uchylonych —
czekam: a może, a gdyby?...
Dla nikogo nie piekłam mazurków,
nie mam na kogo już czekać.
O, jak wielka jest męka tulaczy!
O, jak małe jest szczęście człowieka!
— — — — —
Chryste, pozwól mi stać się ciszą,
którą dzwony mielkanocne kołyszą.*

W DRODZE DO JERUZALEM...

Jest rano niedzielne, od palmowych liści zielone i szumiące.

Betanja stoi cała w orzeźwiającym cieniu oliwnym i w słonecznym blasku, gdy przybliży się do niej Jezus ze swymi uczniami.

...Na tejże samej drodze, jeno dalej, czeka Go Jeruzalem, pod tę porę cicha i mroczna, ze swemi murami — jak grób...

Przybliżywszy się do góry, którą zowią Oliwną, posłał Jezus dwóch uczniów swoich, mówiąc:

— Idźcie do miasteczka, które jest naprzeciwko: do którego wszedłszy, znajdziecie źrebię oślicy uwiązane, na którym żaden człowiek nigdy nie siedział: odwiążcie je i przywieźcie.

A jeśli by was kto spytał: Przecz odwiązujecie? — tak mu rzeciecie: Iż posługi jego Pan chce.

I odeszli, którzy byli posłani, i znaleźli, jako im powiedział, ośle stojące.

Jedwabistą jego sierstkę, nietkniętą biczem, okrywają naprzemian ruchomą pieczęcią to plamy słoneczne, to plamy cienia. Do drobnych, zalotnych kopytek, nie obciążonych żelazem podkowy, lgnie trawa soczysta, jeszcze z posilnej rosy nocnej nie otrzęsiona. Naprzeciw pyszczka, nie skrępowanego uździenicą, zwiesza się przez mur dobroliwy gałąź hojna z kępką liści, łatwo oddających się wargom, łakomym szorstkiej zieleni.

Czemuż w ten łagodny ranek niedzielny małe, nieme serce oślego źrebięcia drży ciemnym strachem? Czemu jeży się na nietykanym jeszcze grzbiecie sierstka jedwabna, a beztróskie, taneczne nogi zginają się besilnie w młodych, jędrnych kolanach?...

Przecież to dobrzy ludzie po nie przyszli. Z wybranych-wybrani. Najmilsi uczniowie Nauczyciela. Najwierniejsi.

Odwiązują je dwaj przez Jezusa posłani i wiodą łagodnie do Czekaającego.

Przywieźli.

Wrzuciwszy szaty swe na ośle, wsadzili Jezusa. A gdy jechał, sła-li szaty swe na drodze.

...Na tejże drodze, już blisko, czeka Jeruzalem, wciąż jeszcze pod tę porę cicha i mroczna, ze swemi murami — jak grób...

A gdy już się przybliżał tam, gdzie się spuszczają z góry Oliwnej, poczęły wszystkie rzesze uczniów zstępujących, weseląc się, chwalić Boga głosem wielkim ze wszystkich cudów, które widzieli, mówiąc:

— Hosanna! Hosanna! Błogosławiony, który idzie król w imię Pańskie! Pokój na niebie, a chwala na wysokości!

A gdy tak radowali się uczniowie i cała rzesza, źrebię oślicy, niosące na sobie Jezusa, drży coraz mocniej ciemną, zwierzęcą trwogą. W tę godzinę triumfu ono jedno czuje, iż wśród dymu kadzidel i okrzyków weselnych nie Zwycięzcę niesie, a Skazanego. Ono jedno, stworzenie nieme i bezduszne, wśród tysiąca ślepych, mądrych ludzi, widzi w słoneczne południe rychły dzień zaćmienia, Krzyż na Golgocie, a na krzyżu... to samo Ciało święte, które teraz oto dźwiga na sobie... to samo Ciało święte, jeno martwe i włócznią przebite: Jezusa Ukrzyżowanego!

Więc ku zdumieniu rzeszy coraz oporniej stąpa źrebię oślicy po słanych przed Panem szatach i palmowych liściach... coraz usilniej stara się zawrócić od bliskiej teraz Jeruzalem...

Rzesza, ślepa, mądra rzesza ludzka woła i woła wciąż: Hosanna Synowi Dawidowemu! Hosanna!

I tak w triumfie wjechał Jezus w bramy miasta.

Tu zeszedł Jezus z oślecia, a ono, stworzenie liचे i nic przed obliczem Boga nie znaczące, chwyciło Syna Człowieczego miękkimi wargami za szatę podróżną! nie mogło Go jednak, nie mogło powstrzymać!

...Już tam cieśle jerozalemscy krzyż mają gotowy.

...Już tam jerozalemski skryba pisze wyrok śmierci pod dyktando faryzeuszy.

...Już się sączy ze źródła woda, w której Piłaci umywać będą ręce.

— — —
To nic... to nic, bo oto, choć go nie widać jeszcze, dalekim skrajem świata idzie biały anioł, który skrzydłami kamień Grobu odwali.

Idzie, idzie z pewnością.

...Chociaż go nie widać.

Ewa Szelburg.



Wjazd Pana Jezusa do Jerozolimy.



Polidoro Lanziani: „Pożegnanie Chrystusa z Matką“.

POŻEGNANIE MARJI Z SYNEM

(misterjum średniowieczne)

*O Aniele Gabrzele! gdzie jest owo Twe wesele,
Cości mi je obiecorwał, tako bardzo wiele?*
(polska pieśń z XIV wieku)

W pierwszych legendach, któremi poezja przy-
stroila surową prostotę werwetów Ewangelji, a także
w pierwszych próbach dramatu chrześcijańskiego, ja-
kiemi były średniowieczne misterja — główną rolę od-
grywa Matka Boża. Ją widzimy na pierwszym pla-
nie, nie Chrystusa. Radość i ból macierzyńskiego ser-
ca, słowa i postępkę Marji — oto główna treść niezli-
czonych poezyj średniowiecza. Psychologja kobiecego
serca, nieraz po mistrzowsku zaobserwowana,
emocjonalny stosunek do zdarzeń i spraw najwięk-
szej wagi, przejawiają się w tych zabytkach literatu-
ry ludowej.

Gardził niemi wiek oświecenia, lekceważyła je
epoka pozytywizmu.

Schroniły się do zbutwiałych kantyczek, do ciem-
nych naw prowincjonalnych kościółków, gdzie orga-
nista i ubogie babiny wyśpiewywały trzęsącym się
głosem: „Rozmowy z Matką Żalną“. Dzieliły los
sztuki malarskiej prymitywów, pogardzanej i ośmie-
szonej narówni z „bohomażami“ cerkiewnemi, na któ-
re wołały spojrzeć z zachwytem jedynie niezezsute
oczy dziecka lub prostego człowieka, podczas gdy
esteta i erudyta odwracał się od nich, jak swego czasu
Goethe od fresków w Assyżu.

Zwolna zmieniał się nasz stosunek do sztuki.
Sporo wody upłynęło w Wiśle od czasu, gdy Ruskin
i Prerafaelici ośmielili się wstrząsnąć zmurzałą bu-
dową konwencjonalnej estetyki. Byli to przecież
współcześni Słowackiego! Sam Słowacki, cudowną
intuicją wiedziony, rzucił takie błyski nowej praw-
dy-heretji, że Matka Boska Berdyczowska, z mizer-
nem, chudem Dzieciątkiem na ręku, jest bliższa jego
sercu, niż piękna, spokojna i syta Madonna Rafaela.
On to dostrzegł przedziwny wdzięk „kolendy, w rymy

ubranej najlichsze“. On wykrył w galerjach włoskich
obrazek, mało komu znany, przedstawiający: „po-
żegnanie Chrystusa z Matką“, i pokochał malarza za
myśl, której ten nie znalazł w Ewangelji, lecz we
własnym sercu.

Dziś, wróciwszy do tej starej, przedziwnej sztu-
ki, zaczynając kochać ją nanowo, dziwimy się, jak
mógł swego czasu historyk literatury, Biegeleisen n. p.,
obojętnym zostać na jej wdzięk i świeżość i krytyko-
wać jedynie „ubogie rymy“, raczej asonanse, które
nam właśnie miłsze są dziś od misternych końcówek!

Tak samo, jakże innem okiem patrzymy na Fra
Angelica lub Giotta, niż przed laty dwudziestu.

Panta rei. Wszystko się zmienia.

Zostaje jedynie szczere złoto prawdy serdecz-
nej: wielkiego współczucia i wielkiej miłości. A te
znajdujemy w starych, zapomnianych książeczkach
średniowiecza. Czarowały nas, wywołane artystycz-
ną ręką w Wielkanocnym misterjum, które nam dała
przed laty niewiele — Reduta.

Pomyślmy, czem musiały być te przedstawienia
dla ludu wrażliwego i pierwotnego, uświęcone powa-
gą Kościoła, na którego tle się rozgrywały! Po raz
pierwszy słyszał czelek z gminu słowa święte w języku
swego powszedniego dnia. Już nie mistyczną, nawpół-
niezrozumiałą łacinę, lecz słowa rodzime, te same,
którymi matka wołała dzieci, brat rozmawiał z bra-
tem.

Wielka tajemnica miłości i cierpienia zbliżała
się do serc ludzkich, do serc najprostszych. Taki był
wielki cud, którego sprawcą był wielki Apostoł ubo-
stwa i miłości — św. Franciszek z Assyżu.

Zapewne i przed nim tworzono legendy i mi-
sterja, odgrywano je na scenach, wzniesionych przed
portalami kościołów i na rynkach miast średniowiecz-
nych. Od X wieku datują te udramatyzowane przed-
stawienia świętych legend. Jakże grube jednak, jak

pospolite bywały nieraz te utwory we Francji, w Niemczech, a zwłaszcza w Anglii, gdzie naprzykład, ku niezmiernej uciechu widzów, św. Józef kłócił się ze swą Świętą Małżonką i używał słów, niedających się powtórzyć.

Inne zgola, poetyczne i wytworne w prostocie, są misterja włoskie, owe „*Devozione*“ franciszkańskie (na których wzorowały się nieraz i polskie), odgrywane w pierwszej połowie XIV-go wieku. Są to po większej części udramatyzowane ustępy z książki, niesłuchanie popularnej i przesłicznej, przypisywanej świętemu Bonawenturze, wielkiemu Franciszkaninowi.*) Jeśli się ośmielimy użyć wyrazu tak świeckiego, była to, z najtkliwszą czcią traktowana: biografja powieściowa Najświętszej Panny. Stała się ta powieść źródłem niezliczonych dzieł malarskich, przedstawiających Madonnę z Dzieciątkiem i Świętą Rodzinę, których niezliczone mnóstwo zostawił nam wczesny Renesans, takie śliczne w swej prostocie i naiwnych szczegółach, aż je zabił konwencjonalizm późniejszego Renesansu, opartego na wzorach klasycznych i chłodnych.

Teraz dopiero zdajemy sobie sprawę, patrząc na obrazki Girlandhaja, Lorenzo di Fiorenzo, aż do Pinturicchia i tylu innych, że malarz brał temat z książki współczesnej, a postacie z życia, tak, jak mu podawały sceny, odgrywane na rynku jego rodzinnego miasta. Miał obraz gotowy, potrzebował go tylko odtworzyć. Sztuka dramatyczna wyprzedziła znacznie, o dwa wieki prawie, sztukę malarską. W „*Devozione del Giovedì Santo*“ — misterjum wielko-tygodniowym — znajdujemy na początku ten obrazek, który tak bardzo wzruszył Słowackiego: Pożegnanie Matki z Synem. Misterjum rozpoczyna się

*) *Meditationes Vitae Christi* — Bonaventura.

tem, że Marja z Magdaleną i Martą wychodzą naprzeciw Jezusa. Matka czyni synowi łagodne wyrzuty, iż naraża życie swoje, czyhających nań wrogów nie unika, i ściska go czule. Zasiadają do stołu, przy którym zabiera również miejsce Łazarz.

Chrystus przyzywa Magdalenę i poleca jej, aby nie odstępowała jego matki, gdyż zbliża się:

Dzień, który bardzo musi ją zasmucić.
Dziś jeszcze odejść muszę i was rzucić —
Do Jeruzalem muszę iść...

przepowiada jej w krótkich słowach swoje pojmanie i śmierć, ale rozkazuje, aby zachowała do czasu milczenie. Magdalena na klęczkach odpowiada:

O dobry Panie, święta mi Twa wola,
Lecz biada, jakież cios będzie okrutny
I jak bolesna Matki Twej niedola!

Chrystus wraca do uczniów, Magdalena zostaje smutna. Marja śpieszy do niej i prosi, aby wyznała, co Pan jej zwierzył. Gdy Magdalena milczy, Matka pada na kolana przed Synem i błaga, by jej całą prawdę wyjawil. Wtedy Chrystus objawia smutną nowinę i bólem zmożeni padają oboje na kolana.

Marja ostatnim wysiłkiem podnosi się, idzie do Judasza, przyklęka przed nim i prosi, aby miał baczenie na swego Pana. Judasz patrzy na nią obojętnie i odpowiada dwuznacznie, że wie, co ma czynić. Marja zwraca się również do Piotra, a potem prosi Syna, aby jej pozwolił odprowadzić się aż do bram miasta. Idą razem i u bramy żegnają się w rozdzierającym bólu. Daremnie prosi Matka, aby mogła towarzyszyć Jezusowi. Bólem zmożona, upada na ziemię, a tymczasem Chrystus odchodzi do Jeruzolimy.



Fra Bartolommeo: „Zdjęcie z Krzyża“.

zostawiając Matce Anioła Gabrjela, jako opiekuna, zanim Jej przyszłe Jana. Za odchodzącym woła Marja:

O synu najmilszy,
którą odeszłeś bramą!?...
O synu najwdzięczniejszy,
przecież żeś ostawił mnie samą.
Powiedźcie mi, niewiasty,
gdzie poszedł mój syn?

Gabrjel i niewiasty pocieszają Ją i odprowadzają do Betanji.

Taki był prolog, odgrywany w Wielki Czwartek. Kilka obrazów włoskich mistrzów (Sacchi, Caroto, Robetta, Lanziani) odtwarzają żalną scenę pożegnania.

„Devozione del Venerdì Santo“.

Misterjum Wielko Piątkowe przedstawiało Mękę Jezusa i lament Matki, również wysuwając na pierwszy plan osobę Marji, której anioł Gabrjel opowiada dzieje Męki. Treść tego utworu nie odbiega od wersyj, znanych powszechnie, „Pożegnanie“ zaś jest utworem świeżym i przejmującym w ludzkiej prawdzie miłości i bólu.

K. Bielańska.

W POCIĄGU

Cicho leżą — do ziemi przypadłe — żelazne ramiona szyn... Stalowymi wstęgami wybiegają w przestrzeń...

We dnie praży je słońce, siecze deszcz, ścina mróz. W nocy światło księżycy darzy je srebrną łuską węży. A mleczone drogi gwiazd urągają znikomym ludzkim szlakom na ziemi.

Leżą w bezruchu stalowe ramiona szyn i czekają momentu ocknienia. Czekają tych chwil, kiedy przewalą się po nich ciężkie koła żelaznej maszyny, pożerającej przestrzeń. Wtedy łączą się z pędem, wtedy żyją!

A tam na dworcu — według ścisłych obliczeń ludzkiego czasu — wpadają z dalekich wędrówek zdyszane, żelazne potwory. I znów, nagłone wskazówką zegara, wypluwszy kurz i nabrawszy tchu w stalowe płuca, gotowe stają do drogi.

Berlin. Oto już zabłyśły ślepią maszyny wielkiego międzynarodowego expressu. Z czarnych, lśniących nozdrzy wyrzuca z sykiem pierwsze kłęby białej pary. Kiedyż tam do wagonów natłoczy się wreszcie ludzkie mrowie?

Ostatni trzask drzwiczek. Sygnał. Ruszyły się tłoki, drgnęły koła — wyzwala się rozpęd! Prędzej — coraz prędzej!

Tak oto w uśpioną przestrzeń nocy wsunął się mój pociąg.

Wtulona w kąć przedziału przy oknie, spragniona odpoczynku, poddaje się miarowym ruchom kół i monotonji łoskotu. Staje się częścią składową tego zamkniętego świata na kołach.

...Chwila odprężenia...

Mijamy Niemcy. Za oknem w księżycowej poświacie białe całuny ośnieżonych pól, to znów kamienne gniazda mniejszych miast. Co pewien czas krótki odpoczynek zdyszanej maszyny w czarnym szkielecie jakiejś stacji, pośród pleców olbrzymich, szarych kamienic i kolorowych plam ogłoszeń: — *Najlepsze piwo!... pasta do butów!... opony gumowe!...*

A później znowuż pęd i naprzemian zmierzch i światło. Całe kwadransy głębokiej czerni, aż tu nagle błysk — jeden... drugi... trzeci...

Za chwilę cała wspaniała, brylantowa kolja rozpiętych nad miastem świateł: gorące, żółte, bursztynowe blaski, to znów niepewne, mgławce opale lamp gazowych, wreszcie czerwone, jak krew ludzka, światła wielkich reklam. Mija parę godzin.

Wejście konduktora przerywa moją zadumę. Rozglądam się. W przedziale jest pięć osób. Jakies

francuskie małżeństwo, usiłujące spać ramię przy ramieniu; jakiś zażywny Niemiec z cygarem w mięsistych wargach; obok chudy Anglik w szarą kratkę; wreszcie naprzeciwko mnie ktoś bez narodowości na twarzy, — twarz o rysach mocnych, śniadej cerze i włosach przyprószonej siwizną — przedwczesną — jak mi się wydało.

Konduktor przecina bilety.

— Teraz Lehrte? — pyta Niemiec.

— Tak. Za dziesięć minut. 3.13.

— Dziękuję pięknie.

Francuzi poruszają się. Mają wysiadać w Hannoverze — 3.47.

Pakują manatki. Wszyscy patrzą życzliwie na te zabiegi, zwiastujące zwolnienie dwóch miejsc.

Dziesięć minut mija.

Znowu światełka przedmieść, znowu miasto.

Ale co to?

Pociąg nie zwalnia. Nie! pędzi, jak oszalały, wydając przeraźliwe, ostre świsty.

Wpadamy na stację. Miga nam w oczach czarny napis *Lehrte*, ludzie i rzeczy na peronie — gromada kolejarzy, dających rozpaczliwe sygnały.

Jednocześnie kurytarzem przechodzą szybkim krokiem konduktorzy. Zatrzymujemy ich.

— Co się stało?

— Spokoju. Wszystko będzie dobrze. Regulator maszyny odmówił posłuszeństwa i stąd ten przykry wypadek. Ale maszynista jest dzielny chłop, da sobie radę. Kto z państwa wysiada najbliżej, w Hannoverze? O, myślę, że już tam staniemy. I proszę nie szerzyć paniki.

— Ależ, panie, przecież to może być katastrofa?!

— Może być, a może i nie być... Ja nie mam czasu, przepraszam... wszystko będzie dobrze...

Zostajemy sami. Zalega milczenie.

— Hm... — bąka wreszcie Niemiec z cygarem. — Jeżeli przed nami idzie pociąg, to mój testament już dziś w nocy stanie się aktualny.

Anglik krzywi się z niesmakiem.

— Proponuję zdjąć z góry walizki — mówi — może być tylko wstrząs.

— Chéri — wybucha płaczem Francuzka — mówiłam: nie jechać! miałam złe przeczucie...

Wysuwam się z przedziału.

W wagonie poruszenie.

Nikt nie wie nic napewno. Rozmowy... krzyki... Niektórzy rzucają się bezmyślnie do pakowania rze-

czy... inni budzą rozespanych, wybiegają na kurytarz, otwierają okno...

A pociąg pędzi niepowstrzymanie, mimo zgrzytów hamulców, mimo lęku serc ludzkich.

Potężne obłoki pary, wypuszczanej ze świstem, zasnuwają wszystko... Jak ślepy, biały upiór, przelatuje maszyna w zdumionej ciszy nocnej...

Sekundy stają się nieskończonością.

Przez głowę przelatują mi tysiące myśli. A jedna z nich — o tych wszystkich jadących — o tej dziwnej społeczności ludzi, dążących każdy w innym celu, a mogących osiągnąć za chwilę *jeden* — w *jednej minucie!*

Nagle — nowy, potężny zgrzyt hamulców — zwalniamy.

Słychać miarowe zmagania się żelaza z nieokiełznaną siłą pary. Świsty jej — coraz rzadsze, niby słabnący oddech pokonanego potwora.

Człowiek zwyciężył.

— *Niebezpieczeństwo minęło* — ogłasza ktoś z obsługi pociągu — *w Hannoverze stajemy normalnie.*

— Więc już po wszystkim — mówię do siebie półgłosem.

— Pani jest Polką? — słyszę nagle pytanie.

Obracam się. Ach! To ów pan z mego przedziału, którego narodowości nie odgadłam — więc to rodak.

Kłania się, rzuca nazwisko, mówi:

— Przepraszam, że się narzucam, ale gdy się jest wzruszonym, trudno wysławić się w obcym języku... Obserwowałem panią... widziałem... zdawało mi się, nie bała się pani...

— Wie pan, jakoś nie wierzyłam, że coś może nastąpić, a śmierci się nie boję...

— Czy pani miała już kiedyś takie przeżycia?

— Nie.

— A ja miałem niejedno... I właśnie teraz wszystko to poruszyło się we mnie... Tyle myśli...

— Cóż to było?

— Zechce pani wysłuchać? Opowiem... Tylko proszę o cierpliwość:

— Widzi pani — urodziłem się stąd daleko... Ojciec mój, inżynier, mieszkał w porcie petersburskim na wyspie Gotujewskiej. Tam, nad zatoką fińską, spędziłem dziecięce lata. Nic nie zatrze w mej pamięci widoku tych miejsc. Ciemna otchłań przelewających się monotonna wód zatoki, ujęta w granitowe bloki mocnych brzegów. Ogromne kadłuby okrętów różnoplemiennej rzeszy świata, zbiegającej tu po złoto wzamian za towar, rzucany do gardła Wschodu. Tysięczne masy robotników, kręcących się, jak mrówki, koło szarych stosów ładunków. Kałmicy, tatarzy, lotysze, rosjanie od Ufy, Orenburga, Charkowa, aż po Archangielsk.

Wszystek czas pozaszkolny spędzałem tam, w zatoce, lub na torach kolejowych. Tak, cała wyspa skuta była siecią dróg żelaznych. Tędy płynęła wymiana ludzi i rzeczy.

Te tory kolejowe, te ciemne linje, idące w głąb nieznanego mi świata — to było coś, co fascynowało mój umysł chłopięcy... Byłem samotnikiem: ojciec cały dzień w pracy; matka odeszła mię przedwcześnie... Bardzo ją kochałem. Była wierząca i wpoila we mnie swą wiarę. Gdy umarła, trumnę jej wstawiona do pociągu... Wywieziono do Polski... do grobu rodzinnego... Byłem małym chłopcem... Stałem na dworcu: rozumiałem, pociąg ten zabiera mi to, co w życiu mam najdroższego... Chciałem go zatrzymać, lub rzucić się pod koła... Odtąd często przychodziłem

w to miejsce, pytałem szyn kolejowych: *dokąd pieniądze? Czy na całym świecie są tylko towary i pieniądze; towary i zgrzyt żelaza, jak na naszej wyspie? I czy odzyskam kiedy tę prawdę, którążeście mi zabrały, czy matka zmartwychwstanie w mem sercu?*

Stałem się osowiały, smutny. Wiara zachwiała się. Z czasem przyszła socjologja, filozofja... młodzieńcze pojęcie *nadczłowieka* i już na czystym rozumie oparte dążenie do doskonałości. Siebie i drugih. Zilustruję to pani.

Codziennie rano, dążąc do szkoły, przechodziłem koło fabryk pułiowskich. Słyszałem monotony łomot maszyn i młotów mechanicznych. Ciekawiło mię, co kryje się po za murami tego nieznanego świata. Nieraz tajemnica się odsłaniała. Południe. Gardziele bram wyrzucają nagle nieskończone szeregi robotników... Starzy i młodzi, prości i zgarbieni, o kroku ciężkim, w ubraniach, przesiąkniętych oliwą...

Wtedy pomyślałem. Tam, wśród nich jest *żywe serce ludzkiej pracy*. Chcę je poznać.

I zaraz po skończeniu szkoły, przed politechniką, wstąpiłem do fabryki, jako robotnik. Było to już w r. 1916. Pracowałem w wytwórni granatów ręcznych.

Tak, zacząłem składać granaty i dobierać się do dusz ludzkich. Ciężko szło jedno i drugie. Pracowałem, póki moje ręce nie zostały tak zżarte przez kwas, jak ich ręce. Myślałem: teraz zniknie ich nieufność, teraz zrozumieją moją filozofję życiową. Ale niespodzianie dostałem awans na kontrolera. I to znowu utrudniło mi porozumienie. Zacząłem odrzucać złe wytwory. Buntowali się.

— *Patrzcie* — mówili — *paniczyk zęby pokazał, a taki był układny!*

Cierpiałem. Aż kiedyś, gdy zdyskwalifikowałem im większą część towaru, wybuchł zatarg. Przyszli do mnie zbitym tłumem, groźni, z pięściami w górze: — Albo z nami, albo precz stąd! — krzyczeli.

O! coś jęknęło w mej duszy, i, jak ślup ognisty, wypadła ze mnie lawina słów...

— *Stójcie! Czy nie widzicie, o co mi chodzi? Nie o te granaty... O was... o sumienia wasze, o waszą pracę uczciwą, o rzetelność, o prawdę!...*

Ręce im opadły. Spojrzeli po sobie; któryś z nich stuknął się w głowę. Szepnęli: „szalenciec“ — odeszli.

To było ciężkie przejście dla mnie — młodego. Powiedziałem sobie: za słaby jeszcze jestem, lecz gdzie szukać siły? Wahałem się: odejść, czy zostać?

Los rozstrzygnął. Wcielono mię do wojska. W parę miesięcy później wybuchła rewolucja; niezadługo pożar objął całą Rosję.

Nie będę pani tego opowiadał. Słyszała pani zapewne, czytała... Proszę mi wierzyć: los mnie nie oszczędzał. Przeżyłem rzeczy potworne. Śmierć przelatowała mi nad głową; a obok zwykłej fizycznej męki — druga, stokroć gorsza — ta, z duszy płynąca. Co się dzieje? Dokąd kroczy świat, dobro, piękno? Jak je ratować? Gdzie szukać prawdy?

I możebym się zatracił, zniszczył w rozpacz, gdyby... Było to w r. 19. Przymusowo wcielony do armji, miałem być wysłany na front południowy przeciw Denikinowi. Pamiętam, jak dziś, ten dworzec, zasłany leżącymi pokotem żołnierzami, czekającymi półmartwo na pociąg... Wreszcie nadszedł. Załadowano nas.

Jechaliśmy wolno przez wielkie zasypy śnieżne, w ponurem milczeniu. Co chwila pociąg, zgrzytając hamulcami, zataczał się, jak pijany, na zwrotnicach. Stawał przed małemi zasypkami stacjami i znowu

Z TEATRÓW

TEATR JASKÓŁKA.

ruszał dalej i dalej, w drogę do niepewności. Byłem zmęczony. Zasnąłem.

W pewnej chwili zbudził mię silny wstrząs. Spadłem z pryczy w kotłownię ciał i tobołków. Jednocześnie — druzgoczący łomot uderzenia. Straciłem przytomność.

Otrzeźwiałem, gdy ktoś wywlekał mię z wagonu na śnieg. Dobry, zimny, śnieg. Dźwignąłem się. Byłem tylko potłuczony.

Ujrzałem górę spiętrzonych wagonów. Stosy żelaza, drzewa i łachmany ludzkich ciał. Pociąg nasz zderzył się pod Tambowem z winy spitego maszynisty. Rzuciłem się do ratunku, ku przednim wagonom, najbardziej strzaskanym.

Usłyszałem jakiś głos. Nachyliłem się.

Leżał tam człowiek, do połowy ciężarem żelaza przygnieciony. Twarz wykrzywiona bólem... Oczy szeroko rozwarłe... Mówił coś... usiłował coś mówić...

— Odwagi — krzyknąłem — wydobędziemy was! Ocalimy!

— Nie to... nie to — wyszeptał — mnie już nie nie potrzeba... Powiedz tym wszystkim ludziom, którzy odchodzą i tym, co zostają... niech się modlą do Boga... Ja już nie mogę krzyczeć głośno... powiedz im... ja już nie mogę... niech wierzą... bo tylko Bóg... Powiedz, że Bóg zwycięży, żeby wierzyli, że zwycięży...

Głowa opadła mu na śnieg.

— O, proszę pani! te słowa...

Błyskawica rozdarła mi mózg.

Gorącą falą uderzyła w serce stracona wiara dzieciństwa — wiara Matki!

Zamilkł. Duże, ciemne oczy patrzyły gdzieś daleko — poza granicę horyzontu.

— A później wrócił pan do kraju — przerwałam.

— Tak, wróciłem z pomocą Bożą. I jestem szczęśliwy, mogąc żyć i pracować w odrodzonej Polsce. I pracuję już bez wątpliwości, wahań — tylko do sumienia ludzkich nie usiłuję teraz trafiać filozofją. Ale tem, co jest o wiele silniejsze, jedynie prawdziwe, co we mnie ożyło w tak cudowny sposób.

I widzi pani, my w tym pociągu byliśmy przecież w obliczu katastrofy. Przeszedłem parę wagonów. Zgiełk... zamieszanie... krzyki... Ilu z tych ludzi myślało naprawdę o istocie tego, co stać się mogło za chwilę?

A przecież człowiek powinien zawsze tak żyć, jakby hamulec mógł przestać działać w każdej chwili. Nie zawsze jest sygnał. Któż wie, kiedy maszyna jego życia zderzy się z nieskończonością?

I jeszcze jedno: dziś w obliczu nowych zdarzeń stoją całe państwa... Często przebiegam Europę... Kryzysy gospodarcze... niepokoje polityczne... Zwątpienia w jednostkach, w rodzinach, narodach...

Widzę to i mam czasem uczucie, jak ten człowiek, przygnieciony żelazem... Chciałbym zakrzyknąć, żeby usłyszeli wszyscy: Wiercie! Nie dajcie się pokonać małym przeciwnościom! zwróćcie myśl ku górze, ku prawdzie! Wiercie, że zwycięży sprawiedliwość — Bóg nieskończoności. Pracujcie na nią!

Zamilkł.

W tym samym momencie drzwi przedziału otworzyły się z trzaskiem. To francuskie małżeństwo wystawiało na kurytarz pół tuzina swoich walizek. Za chwilę pociąg stanął. Hannover. Zamknięty świat na kołach upewnił się w bezpieczeństwie. Wrócił do powszedniości.

Wanda Grabińska.

„Za siedmioma górami“ — baśń sceniczna w trzech aktach Ewy Szelburg. Muzyka Władysława Surzyńskiego. Oprawa sceniczna Jana Golusa.

Miniaturowy teatrzyk w Pomarańczarni w Łazienkach — ta perla stanisławowskiej architektury, ukryta w zieleni kamelii, pomarańcz i rododendronów — napelniła się po brzegi najwdzięczniejszą publicznością na świecie: dziećmi.

Na mocy zezwolenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej uwiła sobie tam gniazdo „Jaskółka“, wzorowy zespół teatralny dla dzieci, założony przez Wydział kultury i piękna Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, a pozostający pod artystycznym kierownictwem Haliny Starskiej i Janiny Strzeleckiej.

Na przedstawienie inauguracyjne, które zaszczycił swoją obecnością Pan Prezydent, wybrano utwór Ewy Szelburg, dobrze znanej czytelniczkom „Bluszczu“ autorki. Jest to inscenizowana baśń o trzech braciach: Dusigroszu, Pasibrzuchu i Jasku-Chwacie, którzy czynią wyprawę po „żywą wodę“.

Miła i melodyjna muzyka, pomysłowe dekoracje i kostjumy, utrzymane w duchu ludowego prymitywu, zrozumiałego zarówno dla dzieci, jak dla dorosłych, wreszcie wdzięczne tańce — stworzyły z tego widowiska całość estetyczną i zajmującą. Młody zespół prostymi środkami i bezpośredniością ujmowania swoich ról zyskał wdzięczne echo w serduszkach małych widzów, z którymi żywy kontakt w antraktach nawiązał Henryk Ładosz, idealny konferencier dla dzieci.

Przemówienie wstępne wygłosiła Janina Strzelecka, dziękując Panu Prezydentowi za oddanie teatrzyku na użytek szkół powszechnych. Jej to energia sprawiła, że z sali, która dotychczas stała pustkami, będzie promieniował rzetelny artyzm i kultura na rzesze dzieci najuboższych, najbardziej pozbawionych i łaknących prawdziwego piękna w słowie, muzyce i plastyce.

Zadaniem „Jaskółki“ będzie ten głód zaspokoić drogą artystycznie skomponowanych widowisk, które, zrywając z dotychczasowym szablonem, powinny iść po linii form najprostszych i najnaturalniejszych, dalekich od wszelkiej pozy, przesadnej stylizacji i czułościowości moralizatorskiej.

S. P. O.

Z KSIĄŻEK

F. Antoni Ossendowski: „Gasnące ognie — podróż po Palestynie, Syrii, Mezopotamji“ — z 60 ilustracjami. Poznań. Wydawnictwo Polskie R. Wegnera.

Ktoś nazwał tę książkę doskonałym reportażem podróży. Można by dodać: i świetnym przewodnikiem. Brak w niej tylko cen hotelowych i taksy dorożek. Zresztą jest wszystko: przeżycia autora, wersety z Biblii, wspomnienia historyczne, rozmowy z tubylcami i z przypadkowymi towarzyszami podróży, legendy miejscowe i historyczne supozycje autora; rozważania polityczne i gorzkie refleksje na temat „status quo“ w Palestynie, które pozwala arabom na ohydne zanieczyszczenie Drogi Krzyżowej i na gospodarowanie w Bazylice Grobu Świętego, a żydom zabrania wbijać gwoździe w Mur Płaczu; — gorszące spory mnichów różnych wyznań i ewangeliczna postać sędziwego ks. Piñiurka, który własnym sumptem stworzył w Jerozolimie „Dom Polski“ i podarował go Prymasowi; przebiegli arabowie i gościnni żydzi polscy w Tel-Awiwie „Wzgórzu Wiosny“; wspomnienia o Emirze Rzewuskim i królowej Palmiry; rozdzierająca opowieść współczesnego Natana o zdradzie Jahel, Gród Kalifów i ojczyzna Dydony. Barwny i urozmaicony film podróży przesuwają się przed naszymi oczami, nie budząc znużenia, ale i nie pozostawiając głębszych wrażeń.

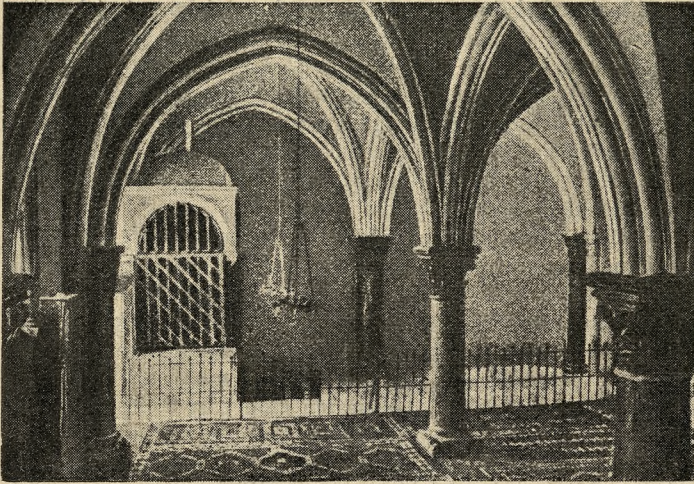
S. P. O.

TAM, GDZIE UMĘCZON BYŁ I ZMARTWYCHWSTAŁ ZBAWICIEL ŚWIATA

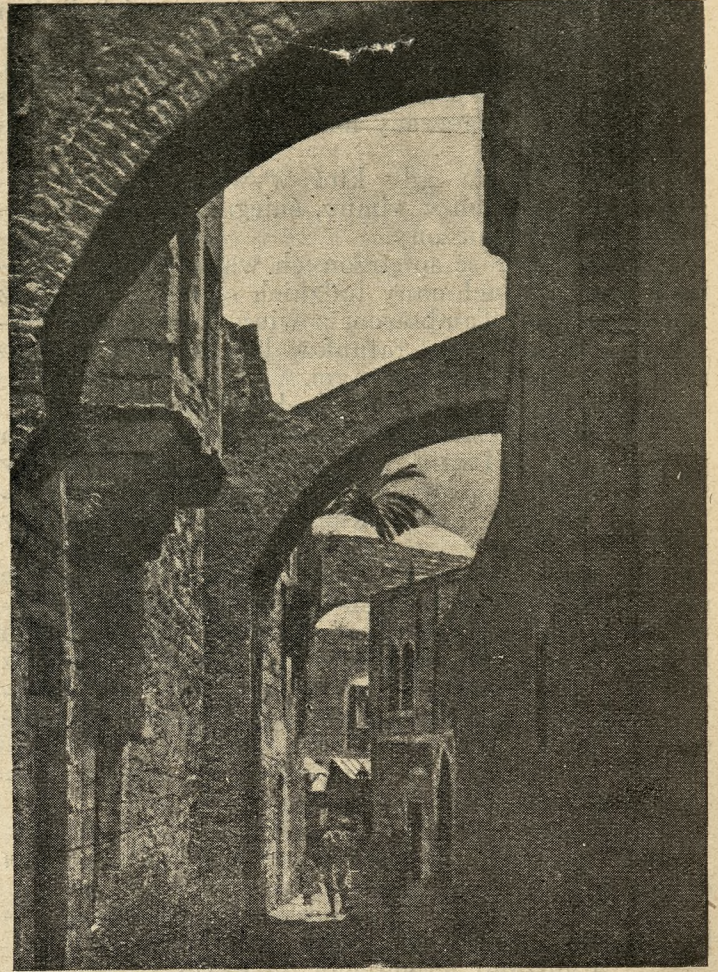
Pełne głębokiego nastroju religijnego ceremonje kościelne Wielkiego Tygodnia i Wielkanocy, upamiętniające Mękę i Zmartwychwstanie Chrystusa Pana, przenoszą myśl naszą do Ziemi Świętej, do tej przystani, do której zawija tęskne pragnienie mistyków i poetów, tych wiekuistych pielgrzymów ideału.

Wieki walk, wstrząsów dziejowych i kataklizmów natury przeszły nad tą ziemią; rumowiska dawnej Jerozolimy zasypały wąwozy i nierówności gruntu. Droga Krzyżowa zamieniona w targowisko; arabowie, syryjczycy, ormianie i żydzi zachwalają na niej swoje towary. Z „Bramy Wyroku“ bronzowe dzieci arabskie rzucają serpentynami na przechodniów. Zamiast skupienia — zgiełk, zaduch, brud, zaniedbanie.

Bazylika Grobu Świętego, wybudowana przez rycerzy



Jerozolima. Sala Ostatniej Wieczery.



Droga Krzyżowa (Via Dolorosa).

krzyżowych i królów jerozolimskich według planu architekta Jourdain w r. 1149, surowa i wspianiała, uległa w w. XIX-ym licznym przeróbkom, które odebrały jej pierwotny charakter. Wnętrze mroczne i zaniedbane, pozabawione najprostszyc warunków bezpieczeństwa, pozostaje pod nadzorem dwóch rodzin arabskich — Jude i Nussebe, do których należą klucze od świątyni Grobu Chrystusowego. Przedstawiciele różnych wyznań rywalizują ze sobą o pierwszeństwo w odprawianiu nabożeństw w Bazylice, przyczem dochodzi nieraz do gorszących kłótni i bójek.

Wszystko to są objawy, nielicujące z powagą miejsca. Bolesny jest fakt, że państwa chrześcijańskie nie zdobyły się dotąd na rewizję miejscowych stosunków i ich układ, zgodny z wierzeniami i potrzebami religijnymi swoich obywateli. Jest to karygodne zaniedbanie,



Góra Oliwna.

świadczące, do jakiego stopnia w polityce dzisiejszej sprawy czysto moralnego znaczenia są usunięte na ostatni plan.

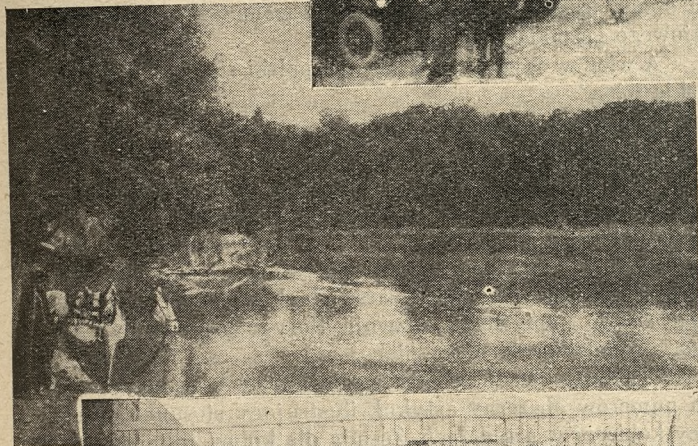
Po śliskich stopniach, wykutych w skale, wchodzi się na Golgotę. Na miejscu Ukrzyżowania stoi bogato wyłożona i ozdobiona kaplica. Przez otwory w marmurowym ołtarzu pokazują doły, w których zagłębione zostały trzy krzyże: Zbawiciela i dwóch łotrów. Obok jest szczelina, która, według Ewangelji, rozdarła skalę w chwili skonu Chrystusa.

Nad Jordanem.



Droga na górę Sion w Jerozolimie.

Na górze Sion, na miejscu t. zw. „Wieczernika“, gdzie odbyła się Ostatnia Wieczerza, wzniesiono piękną gotycką świątynię, której wnętrzu przypomina katedrę w Aachen. Na zboczach Góry Oliwnej wznoszą się ruiny germańskiego zamku, zniszczonego przez trzęsienie ziemi. Otaczający go park jest ulubionym miejscem wycieczek cudzoziemców, stale mieszkających w Jerozolimie. Ze szczytu Góry oko ogarnia całą Jerozolimę, i przez pustynię sięga aż po błękitną taflę Morza Martwego i srebrną wstęgę Jordanu. Gajami oliwnymi po stokach Góry



Bazylika Grobu Świętego.



Gethsemani. Ogród oliwny.

dojść można do Ogrójca w Gethsemani, na skraju doliny Jozafata, gdzie zgromadzić się mają dusze zmarłych na Sąd Ostateczny.

Tam, gdzie modlił się Chrystus słowami: „Ojcze mój, jeżeli można rzec, niechaj odejdzie ode mnie ten kielich; wszakże nie jako ja chcę, jeno jako Ty!“ — szumią drobnymi, szaremi listeczkami zgrzybiałe, pokręcone oliwki, a mnich franciszkański polewa kwiaty na rabatach.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

ZBIÓRKA NA DAR NARODOWY.

Jak corocznie, przed świętem 3 maja zorganizował się już, z inicjatywy polskiej Macierzy Szkolnej, Komitet zbiórki daru narodowego. Do Komitetu honorowego weszli przedstawiciele rządu, duchowieństwa, rektorzy wyższych uczelni, wojewodowie i szereg wybitnych osobistości.

Informacyj w sprawie zbiórki i organizacji uroczystości w dniu 3 maja udziela Komitet obchodu (Krakowskie 7).

KOLEBKI NA GŁĘBINIE.

Od dłuższego już czasu w różnych punktach świata urządzono pływające sanatoria. Kilkotygodniowy pobyt w takiej lecznicy na statku, zwłaszcza na pełnym morzu, oddziaływał nieraz lepiej (szczególniej w pewnych chorobach nerwowych), niż znacznie dłuższa kuracja w zwykłych warunkach lądowych. Obecnie, przodująca we wszystkich nowych pomysłach Ameryka zorganizowała już nie lecznicę, ale normalny zakład wychowawczy dla dzieci na statku. W piękne, pogodne dni, maleńcy pensjonarze śpią i bawią się na pokładzie, w ożywczem powietrzu morskiem. Rezultaty w zdrowiu malców są zadziwiające.



W pełni powietrza i słońca.



Doskonale jest krajowe.

ZDROWIE ŚWIĄT PIJEMY SWOJEM WINEM.

Okres przedświąteczny wyzyskany został przez Ligę Samowystarczalności gospodarczej na propagandę win krajowych. Barwne plakaty i chorągiewki, korowody udekorowanych samochodów, ulotki, przemówienia przez megafony i wstawki propagandowe w teatrach rewjowych głosiły pożyteczność i smak naszych win i miodów, zachęcając do kupowania ich tylko i wyłącznie. Nawoływania, jak zwykle, zwracały się przeważnie do pań domu, trzymających rękę na pulsie nie tylko własnego, lecz krajowego gospodarstwa.

A więc, w myśl hasła Ligi: „na polski stół świąteczny tylko polskie wina“.

ZNACZNIE GORZEJ, NIŻ U NAS.

Wiele się mówi i pisze o miastach portowych, jako ogniskach zepsucia. We Francji także opinia sądzi nieraz surowo kobiety, mieszkanki Marsylji, Tulonu lub Cherburga; mało kto jednak wie, jak poważnie i wydatnie wielka ilość kobiet w tych miastach pracuje w portach i arsenałach wojskowych, przyczyniając się do pomysłnego rozwoju floty i gospodarstwa krajowego, za niezmiernie niską płacę.

Tygodnik „La Française“ zamieszcza w jednym z ostatnich numerów obszerny artykuł, ilustrujący stosunki i warunki pracy kobiecej w arsenałach. Zasadą dla kobiet jest: trzy czwarte wynagrodzenia, które pobiera tak samo wykwalifikowany pracownik mężczyzna, a ponieważ płace rządowe są wogóle niskie, można łatwo obliczyć, jak mało zarabia mniej jeszcze płacna kobieta. Inaczej było wprawdzie w czasie wojny, ale już w rok po zawarciu pokoju specjalny dekret ministerjalny określił, że płace kobiet nie mogą być równe męskim!

Oryginalna cprawda była ta wdzięczność rządu francuskiego dla obywaterek, które tak ofiarnie i intensywnie pracowały, zastępując mężczyzn, walczących na froncie, ale nie było żadnej rady. Wszystkie zresztą ministerstwa francuskie ustaliły niższe wynagrodzenie dla kobiet. Na kolejach 89 fr. w stosunku do 100 dla mężczyzny; w urzędach pocztowych i telegraficznych 87. Najgorzej jednak jest w ministerjum wojny i marynarki: kobiety otrzymują tam tylko 69, a nawet 59 fr. w stosunku do 100.

Stowarzyszenia kobiece i kobiece Stany Generalne francuskie zabiegają od szeregu lat o zmianę tych warunków; jak dotąd, bezskutecznie. Szczytem obłudy było powiedzenie przewodniczącego, ustalającej zmiany płac Komisji międzyministerjalnej. Pan ten oznajmił delegacji kobiecej: „Nie możemy, proszę pani, zachęcać wyższemi płacami kobiet do pracy zawodowej, gdyż miejscem kobiety jest dom rodzinny!“.

„Zgadamy się z tem najzupełniej, panie ministrze“, odpowiedziała przewodnicząca delegacji, „ale w takim razie prosimy, aby pan zechciał przeprowadzić w parlamencie ustawę, wypłacenia zapomóg wszystkim kobietom samotnym i tym, których mężowie nie mogą wystarczyć do utrzymania rodziny“.

Tej rozsądnej propozycji minister jednak nie przyjął i sprawa pozostaje dotychczas na martwym punkcie,

SŁUŻĄCA O SŁUŻBIE.

Pod powyższym tytułem angielski miesięcznik „Labour Woman“ drukuje spostrzeżenia czytelniczki, która razem z mężem spędziła długie lata w różnych domach, jako służąca. Przynajmniej tu szereg uwag, ilustrujących różnice i podobieństwa stanu sprawy służbowej u nas i w Anglii.

Pani Lewis, autorka artykułu, krytykuje przedewszystkiem system biur pośrednictwa pracy dla służby domowej. Co takie biuro wie o służącej? Nic. Zapisuje jej imię i nazwisko, przeprowadza z nią krótką rozmowę i oddaje pracodawczyni te informacje. Wszystko to jest robione w najlepszej wierze, ale nie z najlepszym rezultatem. Pracodawczyni nie ma właściwie pojęcia, kogo bierze do domu, a służąca jeszcze mniej wie o pracodawczyni; cóż dziwnego, że nie zawsze mogą się dopasować! A potem, wzajemne, tak, twierdzi służąca, wzajemne obowiązki.

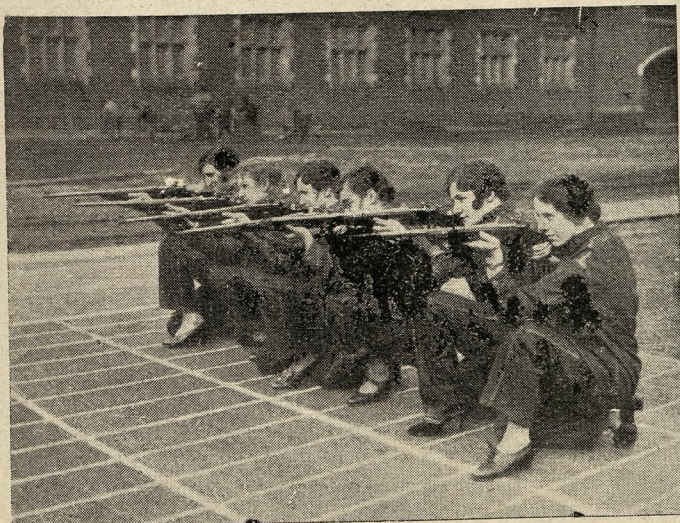
Niezbędnymi cechami służącej muszą być: uczciwość, czystość, pracowitość, punktualność i uprzejmość; ale i pani ze swej strony powinna uważać służącą nie za maszynę roboczą, ale za *współpracownika* domowego. Trzeba swoją służącą *zainteresować* swoim domem, trzeba ją zachęcić dobrem słowem, porozmawiać z nią, nie wahać się podziękować jej czasem za pracę i staranie, pomyśleć, aby miała niekiedy małą przyjemność. Trzeba umieć obliczyć dobrze czas, potrzebny na każdą pracę, na wyjście do miasta i sprawunki, bo ileż razy np. mieszkanie jest tak daleko od sklepów, że służąca nie może prędko wrócić z miasta. Tak samo z wychodnią, z wypoczynkiem niedzielnym. Służąca ma też prawo wyjechać za miasto, użyć powietrza, na samą zaś drogę musi zużyć nieraz godzinę i dwie, jak niewiele więc zostaje na spacer i odpoczynek. Ile też razy wymaga się od służącej smacznego gotowania, dając do rozporządzenia zbyt skąpą ilość przypraw. Jane ma zrobić pudding. Z czego? Jest przecież ryż w szufladzie! Wiadomo, ile innych rzeczy, prócz ryżu, ten pudding wymaga.

Pani Lewis uważa, że dużo mogłoby zaradzić schronisko dla służących. Poszukujące pracy mieszkają tam, mając życie i lokal, a jednocześnie zarząd schroniska stanowiłby racjonalne pośrednictwo pracy, gdyż poznawszy swoje pensjonarki, mógłby polecać je i umieszczać daleko racjonalniej, niż biuro, niewiedzące nic o swych kandydatkach. Na fundusze, potrzebne schronisku, złożyłyby się opłaty pracodawczyń i służących.

Tu ogarnia nas zdziwienie, że w kraju, tak kulturalnym, jak Anglia, nie ma dotychczas stowarzyszeń i schronisk służby domowej.

NAJCELNIEJSZE CELUJĄ.

Dużo i ciągle mówi się o pokoju, ale wszędzie wszyscy ćwiczą się w przysposobieniu wojskowem. Studentki uniwersy-



Najlepsze.

tetów amerykańskich przygotowują się nadzwyczaj starannie do wielkich zawodów strzeleckich międzystanowych. Na rycinie widzimy najlepsze strzelczynie, wybrane z drużyny filadelfijskiej.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W czasie wojny krążyła następująca anegdota, ilustrująca przymierze Austrjacko-Niemieckie: każdy z kontrahentów wypijał kufelek piwa, placąc swoją walutą, to 10 halerzy, to 10 fenigów, i tak, niezliczone razy wkółko.

Teraz zanosi się na coś w tym rodzaju, choć trochę inaczej. Niemcy z Austrią podzielił się na Wielkanoc jajkiem, nie tyle święconem, ile anchlussowem.

Co to jest Anschluss? Stara stwora, jak świat, trzydzieści lat temu wyczyniona w Austrii przez Wszechniemców, z Wolfem i Schönererem na czele, kierująca zresztą parlamentarne swe ostrze przeciw Kołu polskiemu. Narazie były to tylko demonstracje teoretyczne, bo trochę trudno było wówczas, nawet Wilhelmowi II, polknąć monarchję Habsburgów. Dziś role zmieniły się zasadniczo i mała Austrija znacznie łatwiejsza jest do polknięcia.

Anschluss, to idea najściślejszego połączenia obu państw, niecofająca się w ostatecznym programie przed poświęceniem odrębności państwowej Austrii.

I oto w tym tygodniu pisma berlińskie podają wiadomość, że zawarta została (na początek!) unja celno-handlowa między Niemcami i Austrią. Tak się to nazywa teoretycznie, w praktyce zaś będzie absolutnem wcieleniem Republiki Austrjackiej do Rzeszy Niemieckiej, aktem, którego następstwem najbliższem może być tylko unja państwowa.

Czy narody jedнопlemienne nie mogą się łączyć? — czemu nie, abstrahując nawet od tego, że różnie to tam jest z tą jedнопlemiennością rasową, obyczajową i psychiczną Niemców austrjackich i „rzeszowych“, niechby się połączyli. Dowcipną i słuszną uwagę zrobił też jeden z polskich dziennikarzy, że „każde państwo jest kowalem swego losu, a jak ktoś chce koniecznie stracić swoją samodzielność państwową, to niema rady“. Ale chodzi tu o co innego. Każdy zrozumie łatwo, że Anschluss, to poprostu powiększenie wydatne Rzeszy Niemieckiej, gwałtownie przez Niemcy forsowane. Dość przeczytać entuzjastyczne artykuły prasy berlińskiej, o rozpoczęciu aktywnej działalności *w kierunku południowo-wschodniej Europy*, o samopomocy narodów Europy Środkowej, *cierpiącej pod ciężarem traktatów*, o wspólnocie niemieckiej i tym podobnych rzeczach! Temu naciskowi Berlina przeciwstawia się bardzo niezdecydowany ton prasy austrjackiej, jakby doprawdy przymuszonej do tego wszechniemieckiego patriotyzmu.

Pozatem, akty tego rodzaju nie mogą, w dzisiejszym układzie stosunków politycznych, obchodzić wyłącznie kontrahentów, choćby dlatego, że są zwykle skierowane przeciw jakiemuś państwu, czy państwom. To też Anschluss wywołał żywe echa niezadowolenia, nie tylko we Francji, ale w Anglii i Czechosłowacji. Mówi się i o tem, że bez zgody Polski Anschluss nie jest do zrealizowania. Niektóre rządy zamierzają wystąpić z protestem, my dotychczas jeszcze nie protestujemy. Będzie na to czas, a wiemy i tak, co o tem sądzić.

W każdym razie sensacja na święta niebyłeja.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Janinie w Warszawie. — Właściwie nie jesteśmy obowiązani odpowiadać na pytania anonimowe, skreślone ołówkiem na marginesie wycinku z gazety. Natomiast radzimy przeczytać uważnie niniejszy numer „Błuszezu“ — uważniej, niż to Pani wogóle dotychczas czyniła. Sądzymy, że znajdzie Pani w nim odpowiedź na swoje wątpliwości.

NASZA MÓWNIKA

Przez granice (w odpowiedzi p. Eldze Kern).

W powodzi wzajemnych oskarżeń, w bezustannej, zabójczej podejrzliwości, w morderczej gotowości naprzeciw najbliższemu sąsiadom stoimy: my i wy.

Przechodzimy cały świat piekła i intryg, świat samoudręczeń, że lada chwila z za nikłych kopczyków granicznych popłynie ku nam śmiertelny gaz.

W ciąglej trwodze o całość naszych najdroższych gniazd, podtrzymujemy nędzną podstawę samoobrony: nienawiść.

Dusze opętane żywiołowo wiara, że po drugiej stronie granicy czyha nieprzejednany wróg.

Czy wróg?!

Podtrzymuje tę wrogość polityka, politykę robią nasi mężowie i synowie, jak przedtem nasi ojcowie i dziady. A kiedy w chaosie męskiego układu politycznego ciągle wre walka i kuje się broń, usłyszeliśmy, zdumieni niespodziewanem, głos kobiety z za sąsiedzkiej linii granicznej, p. Elgi Kern.

Plącze się podejrzenie, że miła nam opinia p. Kern jest mocno jeszcze niepopularna u jej ziomeków, ale my z punktu wyczuwamy, że to musi być głos wzajemnego poznania i zrozumienia.

Na ten siostrzany głos czekałyśmy my, Polki, co chciałbyśmy w spokoju dzieci nasze chować i nauczyć szanować człowieka-brata, bez względu na szerokość geograficzną.

Ale tym naszym idealnym zamierzeniem staje wpoprzek nieufność i lęk: czy, budując duszę synów, szeroko otwartą dla całej ludzkości, nie zmarnujemy przez zbytnią ufność krwawego dorobku, jakim jest nasza odrodzona i wolna ojczyzna? Należałoby mieć pewność, że za najbliższą granicą czeka z wyciągniętą dłonią, jeśli już nie przyjaciel, to przynajmniej obojętny i spokojny sąsiad.

Zanim nas doszedł głos p. Elgi Kern, nieraz toczyły się w skromnym gronie przyjaciół i znajomych rozmowy, na temat piętrzących się trudności wzajemnego poznania się narodów i porozumienia.

Podziwialiśmy wspaniałą niemiecką filozofję, bogatą poezję i literaturę, wysoko postawioną naukę: chemję i medycynę, ubolewając, że jednak cały ten imponujący dorobek kultury przysłania butna pikeltauba.

Nie dając za wygraną, snułyśmy mgliste projekty, aby nasza Mównica w „Bluszczu“ mogła posłużyć i niemieckim paniom do wypowiedzania się, sądząc, że, gdy za pośrednictwem naszego pisma, zaprosimy do głosu przeciętne czytelniczki niemieckich pism kobiecych, to może tą drogą, ewolucyjnie, wyłobimy ścieżkę porozumienia na tej naprawdę skalistej, drodze.

Ośmielałam się twierdzić, że jednak w rękach matek niemieckich leży pokój; niech wychowują swe dzieci nie w *kulcie*, a w *grozie wojny*. Czas już przeorać ducha narodu niemieckiego, aby nie Bismarkowie i Wilhelmy II byli przywódcami, ale Hegle, Kanty i Szyllery, bo dziś już wielkość państwa mierzy się nie obszarem, a potęgą ducha.

Z chwilą, gdy wypowiedział się Remarque, olśniła nas wspólnota poglądów na wojnę (pomimo, że żołnierz polski szedł walczyć z krańcowo odmiennych pobudek, niż niemiecki); otrzymaliśmy wrażenie, że stwarza się jakaś platforma, po której można dojść do porozumienia; i czy nie nadchodzi moment, aby kobiety dały głos za wielką sprawą pojednania i pokoju Narodów?

A. Płońska — Łódź.

Na drodze przemian psychiki kobiecej.

Jesteśmy świadkami przemian kobiety współczesnej w stosunku do zagadnień życia. Kobieta zdobywa nowe prawa i bierze na siebie nowe obowiązki, wyzwala się. Z wyj-

ściem na szerszą widownię i rozszerzeniem zakresu swego działania, kobieta przeobraża się z dotychczasowego sfinksa, wyhodowanego w salonach, na pełnego człowieka. Lecz nie może się to stać odrazu. Kobieta bowiem obciążona jest balastem wielowiekowych przyzwyczajęń i nałogów, które stały się jej drugą naturą. Wskutek pomieszania właściwości pradawnych z nowopowstającymi, typ kobiety dzisiejszej przedstawia się w okresie przejściowym, jako nie zharmonizowany. W oczach mężczyzny razi nawet ona śmiesznościami.

W tej chwili interesuje mnie zagadnienie: czy i w jakim kierunku może i powinna kobieta współczesna zmienić swój stosunek do świata męskiego?

W mądrym dziele p. t. „Świat kobiecej“ przeciwstawia Grossek-Korycka psychikę męską (logiczną) kobiecej (intuicyjnej) i, dopatrując się w tej ostatniej dużych walorów, nawołuje świat kobiecej do przystosowania się do nowych warunków życia współczesnego, wskazując dziedziny, w których intuicyjne uzdolnienia kobiece mogą święcić triumfy. W parze z tem wszakże musi pójść odpowiednie regulowanie stosunku między kobietą a mężczyzną, stanowiącego podwalinę życia rodziny i społeczeństwa.

Czy jednak kobieta będzie mogła wyjść z roli sfinksa, porzucić sekrety sztuki dyplomatycznej, wyrażać swe myśli i pragnienia otwarcie i szczerze, czy też ma pielegnować nadal zagadkowość, jako nieodłączną część składową natury kobiecej? Czy i kiedy nastanie era prawdziwej przyjaźni między wyzwoloną kobietą a wolnym mężczyzną, opartej na zupełnej otwartości i zaufaniu?

Jeśli chodzi o mężczyzn, to nie są oni przeważnie zadowoleni z kobiety, w postaci, w jakiej obecnie występuje. Świat męski upomina się o kobietę stuprocentową, bo uprzykrzyła mu się już chłopczyca, ten konglomerat cech męsko-żeńskich. Spostrzegawczość męska wpadła już na trop przemian, jakim podlega obecnie świat kobiecej, i oświetla je po swojemu, przede wszystkim krytycznie i niedowierzająco.

Ot, niedawno wpadła mi w rękę książka Brzujana, p. t. „W Krzywem Zwierciadle“, zawierająca epigramaty o kobiecie. Jest to znak czasu: dotąd mężczyźni pisali przeważnie dytambuły na cześć świata kobiecego, to też ze zdziwieniem znalazłam w tej książce same utwory satyryczne, poświęcone wyłącznie kobiecie współczesnej.

Muszę przyznać (mówiąc między nami), że satyry te są, niestety, trafne i niezbyt przesadne. Autor podpatrzył zřęcznie kobietę i chce „ridendo castigare mores“. Śmieje się dobrodusznie (czasem złośliwie) z tych sprzeczności, jakim podlegamy przy metamorfozie z typu dawnego na typ nowoczesny. Książka ta wskazuje bez ogródek, co mężczyzna uważa za śmieszne w postępowaniu kobiety współczesnej, zatem choć jestem kobietą, nie obraziłam się, lecz nawet nabrałam przekonania, że przytyki autora mogą nam pomóc w orientacji w stosunku do świata męskiego. Nie lękajmy się więc krytyki mężczyzn, zarówno tych z Parnasu, jak i tych z nizin szarej pracy!

Psychika kobieca jest łatwo przystosowalna do warunków życia, znajdzie tedy drogi ku temu, aby stosunek swój do mężczyzny utrzymać na poziomie harmonji. Należy tylko zdać sobie sprawę, czy przy przemianie typu kobiecego i przy forsownem rugowaniu tego, co jest w naturze kobiecej pozostałością niewolnictwa, możemy i powinniśmy zachować to, co stanowi „das ewig weibliche“ w oczach mężczyzny? Innymi słowy, czy wolno nam bezkarnie urabiać się tylko na obraz i podobieństwo nasze, bez uwzględnienia upodobań świata męskiego, z którym tworzymy całość?

Dobrze byłoby, gdyby Panie wypowiedziały się w tej kwestji.

H. N. — Warszawa.

JAK JEST, A JAK BĘDZIE

Jak godzą się te dwa krańce, dając w dorobku idealną harmonję bez-troskiej radości?

Przyziemna zapobiegliwość o świąteczny dosyt i podniosły nastrój mistycyzmem owianego Wielkiego Tygodnia. Asceza postnych wyrzeczeń, jako odskocznia do świątecznego objadania się i topienia szarżyny *kryzysowej* doli w tęczowej zawartości butelek. Nieporównany chaos, przekreślenie ciszy domowego ogniska, zburzonej ostrym szalem porządków wiosennych w imię naoliwienia maszyny domowej do sprawnego dwudniowego działania, a w międzyczasie rzut oka wstecz; trochę rozpamiętywać; wejrzeć w siebie; skłonność do rachunku sumienia; zwiedzanie grobów i wstępny akord do świątecznych rozkoszy — Rezurekcja, rozgłosnem biciem dzwonów, śpiewem chóralnym głosząca radość Zmartwychwstania. Współzycie wsi z miastem pulsuje w tym przedświątecznym okresie wzmożnem tętnem. Handel wymienny pomiędzy wsią, a miastem niezależnie od konjunktury, osiąga zenitu. Wieś jedną ręką daje wierzbowe baze, festony widłaków, barwinki i bukszpany, tuczne indyki i rozkwiczaną świńską progeniturę, gromadzi kopami jaja, znaczy kokietyrjnymi wrębami. ośelki masła, obsusza wielkanocne senki — a drugą zgarnia obole.

Miasto zachowuje się z rezerwą. Chciałoby zdobyć się na dawny szeroki, pański gest i wchłaniać dary Boże, sypiąc brzęczącą monetą, jak z rogu obfitości. Ale dalekie są czasy, kiedy Wielkanoc była synonimem wesolego wiwatowania i stołów, uginających się od ciężkich półmisków. Dzisiaj to nie tak, jak za króla Sasa, którego panowanie dało asumpt charakterystycznemu przysłowiu: „Za króla Sasa — jedz, pij i popuszczaj pasa“.



Rezurekcja rozgłosnem biciem dzwonów, śpiewem chóralnym głosząca radość Zmartwychwstania.

Poza bielą świeżo wypranych i podług modnych wzorów upiętych firanek, w ciszy pokojów, pachnących zaprawą terpentynową i wiosenną zielenią, w beztrosce dni, wolnych od przymusowego obserwowania godzin — stół, rozciągnięty na wszystkie błaty, holenderskiem płótnem, w festony zieleni strojnem, zasłany — jest anachronizmem.

Odsetek domów, otwierających szeroko podwoje dla tych, co wierzą, że „gość w dom — Bóg w dom“, w statystykach lat bieżących staje się coraz rzadszy.

Dobrze, że lekka sakiewka przyuczy nas do szukania symbolu Wielkiejnocy nie tylko w soczystych szynkach, sosem majonezowym obficie polanych, w krwawych rozbefach, indykach, prosiętach, babach puchowych, parzonych, z guzami migdałowemi, skórką pomarańczową i rodzynkami, w tortach piaskowych i lukrowanych mazurkach.

Najsymboliczniesze ze Świąt zyska może na tem od rzeczy doczesnych oderwaniu, a ci, którzy przywykli od lat te dnie święte święcić, wolni od cielesnej ociężałości, co myśl i ducha pęta, obleka zawsze tę samą treść w nową formę.

Pani domu, dźwigając mozolnie swe członki, umęczone przedświątecznym trudem, nie będzie się czuła, jak niewczesna amazonka, co galopowała na fornalskim koniu, pan domu podpisze o jeden weksel mniej (jeżeli już stracił prawo do biurowej zaliczki); nasze pomocnice przestaną klasyfikować państwa podług tego, jakie wyprawili Święta; dzieci nie zachorują z przejedzenia, i aż dziw pomyśleć, że przy tym nowym porządku rzeczy Zmartwychwstanie będzie naprawdę wzniosłym symbolem, a palma, święcona w niedzielę, otwierającą wrota Wielkiego Tygodnia, baranek wielkanocny, cisza i beztroska dni, postawionych poza nawiasem powszedniego życia, i najistotniejsza radość Świąt — nabrzmiała, jak kwietny pąk, ty-



Miejskie kramy uginają się pod ciężarem wełnistych baranków...



Handel wymienny pomiędzy wsią a miastem dosięga zenitu...

siącem obietnic: wiosna — nie stracą nic ze swego wiekami uświęconego uroku.

Zabraknie może poświęceń maruderów: niepopłaconych rachunków, piętujących się rat, dojadania przez szereg dni resztek, na zimno, w sosie, z makaronem; dnie, co idą, będą młodem pokoleniem, wolnym od zobowiązań, przekazanych im przez możliwych antenatów, i cały wiosenny okres nie załamie się pod ciężarem spuścizny — braków i niesmaku, bo „zastaw się, a postaw się” — to zawsze, a szczególnie w dzisiejszych czasach, niebezpieczna przywara.

Życie bez marzeń — to roślina, której natura, Bóg wie, za jakie winy, odjęła dar kwitnienia; więc darujcie mi, wszystkie tradycyjnie świętujące Panie, że snują sobie taką pajęczą nitkę uludy, bo wiem, że przecież nie zmienia się nic, a w każdym razie zmienia się tak niewiele... może liczba rok rocznie przygotowywanych mazurków, gatunek win (z zagranicznych na krajowe) — wszystko pozatem pozostanie *tak samo!*

Pani Elżbieta pod koniec Wielkiego Tygodnia będzie musiała wyłączyć telefon, bo nawet jej nie starczy altruizmu na dzielenie się z szerokim gronem adeptów swym wypróbowanym doświadczeniem; pani X. i pani Y. dojdzie do wniosku, że przecież Święta są tylko raz do roku i że nie byłoby sensu, aby każdy piekł indyka, tylko nie ona. Brak szynki byłby prawdziwym policzkiem, wymierzonym Wielkojocy; domowe ciasto i mazurki — to prawdziwa oszczędność, bo można się będzie obejść przez cały tydzień bez pieczywa i legumin; a przekraczające budżet wydatki? — „jakoś to będzie” — zawsze się znalazło, znajdzie się i w tym roku; a zamiast wytchnienia — zmęczenie? Zmęczenie świąteczne ma w sobie tyle swoistego uroku!

Więc jeśli już tak było, tak jest i inaczej być nie może, to pewno i ja, krzewicielka rewolucyjnych idei, co ociekającą tłuszczem i lukrem naszą polską Wielkanoc ośmielałam się w marzeniu detronizować — zasiądę poza jakimś uginającym się od przysmaków stołem i — splonę rumieńcem wstydu.

Zresztą gdybym nawet najsolenniej zastosowała

się do propagowanej idei wstrzeźliwości i przeliczyła wszystkie doczesne rozkosze wielkanocnych dni na strawę duchową, czynem popierając słowa, któż wpisałby mi to życliwą ręką na bieżący rachunek żywoty pod rubryką „ma”, gdy przeciwnie, jeżeli ktoś, co nie daj Boże, podpatrzy rozbieżność słów i czynów na niekorzyść niżej podpisanej, trafi w nią celna strzała oburzenia.

Bo jakże? Piszesz o zmianie systemu, a dawnym staropolskim zwyczajem po szynce prosię, po prosięciu indyka, a potem jeszcze rozbef dla nadania wyrazistości zabarwieniu, przekładaniec i baba, mazurki i sękacz? I znów da capo al fine?

Więc już postanowione! Nie piekę, nie smażę, nie gotuję, nie przyjmuję zaproszeń, spędzam Święta pod znakiem reformy, w cichych, pachnących wiosenną florą ścianach, z dobrą książką, a może z tęsknem westchnie-

niem, że zmarnowałam Święta, które są przecież tylko raz do roku...

Któż wie? tak często człowiek zostaje ugodzony własną bronią...

Zresztą, na cóż ten spór? Pogódźmy się wszystkie: i te, co urządzają Święta, i te, które próbują kroczyć nowymi drogami, i te, co dadzą się skusić okolicznościom i podzielią grzech cudzy... bo zbliża się dzień ślicznej tradycji — ogólnego pojednania, szczerych, dobrych życzeń, które wraz z „Bluszczem” niech zawitają we wszystkie dostępne mu progi.

Wanda Dobrzańska.



Więś daje mierzbowe bazie, festony midlaków, barwinki, bukspany...

JAK WYPOCZAĆ PRZEZ ŚWIĘTA

Wielkanoc ma to do siebie, że okres wypoczynku, w stosunku do wysiłonej pracy wielkiego tygodnia, trwa niewspółmiernie krótko — przeważnie (z wyjątkiem uczniowskiego i nauczycielskiego zawodu) tylko dwa dni. Planujemy je zwykle na szeroką skalę, spodziewamy się po nich, Bóg wie, czego — i zwykle wszystko się kończy na niczym, niedostatecznie obmyślnym, chaotycznym, męczącym.

Ktoś przyszedł, przyjechał, do kogoś się poszło, przesiedziało się 5 godzin przy świątecznym śniadaniu, długi wiosenny dzień skróciło późnym wstaniem do połowy, noc zarwało bridżem...

Na 3-ci lub 4-ty dzień świąt wstaje się z podbitymi oczami, nie wiedząc, czym się więcej zmartwić: powrotem do codziennej pracy, czy tym niezdrowym czadem, jaki pozostał w duszy po bezsensownie przekotłowanych dniach.

W rezultacie, nowy, już zdecydowanie wiosenny, poświęcony okres rozpoczynamy proszkami od bólu głowy (dobrze, jeśli nie czarną kawą z cytryną).

Oczywiście, nie może już być mowy o nadaniu pewnej określonej linii świąt na dłuższą metę. Jeśli powzięliśmy projekt dalszego, parotygodniowego wyjazdu np., sprawa jest obmyślana, a może nawet przesadzona. Zmiana warunków będzie wtedy stanowiła o świątecznym programie. Ale w innych wypadkach ten ekstrakt świąt, ich punkt kulminacyjny, stoi jeszcze przed nami pod znakiem zapytania. Możemy go zrealizować szczęśliwie, lub przez nieprzemyślenie, opieszłość i niedbalstwo — zaprzepaścić.



Takim właśnie powinien być nastrój świąteczny.



Żebyż to mieć taką pogodę!

Dlatego w nawale prac wielkotygodniowych postarajmy się obmyślić, jak dni te spędzić, jaki bieg nadać świątecznym godzinom, żeby nie mignęły w szybkobieżnym chaosie, ani nie rozplynęły grązką rozlewiskiem nudy.

Bez względu na to, jak mamy zamiar spędzić święta, podświadomie spodziewamy się od nich rzeczy podstawowej: wypoczynku.

W gruncie rzeczy niekulturalny, albo raczej świadczący o braku codziennej, czujnej, nieustającej kultury, ogrom zacytowanych i, kosztem nerwowego i fizycznego wysiłku, poprzez „już nie mogę”, wykończonych spraw przedświątecznych — daje nam tło do tego odpoczynku jaknajpomysłniejsze. Troska o zaaprowidowanie dwóch dni jest w nich jeszcze najmniejsza.

Właściwie żadna sprawa naszej codzienności nie powinna czekać na okres przedświątecznej rewolucji — ale to już bodaj naprawdę kwestja narodowego temperamentu. Pozwalamy na porastanie życia codziennego niezdrową pleśnią ustawicznego zaniedbywania — żeby potem pozbyć się jej w krótkodystansowym, spazmatycznym wysiłku.

Wszystko to jednak, tak, czy inaczej wygładziło się i odeszło w mgłę. Firanki poprane, dom aż wylakierowany od czystości; stopy rzeczy niepotrzebnych nie zawalają szaf i szuflad; odświeżony zapach terpentyny przyprawia o zawrót słabsze głowy; wszelkie zaległości w szyciu i pralniach chemicznych wyrównane. Jest co zjeść, co włożyć, na czym usiąść. Odpoczywamy. Teraz nasunie się pytanie: — jak?

Odpoczynek — to pojęcie płynne i względne w najwyższym stopniu.

Dla osoby, która długo nie ruszała się z miejsca, ma dosyć miasta, jest pozatem wytrwała na wysilek fizyczny — dobry będzie wyjazd na krótką metę, wycieczka całonocna, forsowny spacer.

Jeśli natomiast taki wyskok nad morze, w góry, czy do daleko mieszkających na wsi krewnych, pociąga za sobą całonocną podróż trzecią klasą — niepodobna jej doradzać osobom, które noc w wagonie wytrąca z orbity normalnego samopoczucia na kilka dni. W tym wypadku zamiast oglądania rewji tualet wiosennych w śródmieściu, lepiej się zdecydować na nie-

męczące, a gruntownie odświeżające powędrowanie za miasto śladami wiosny.

Ten pęd do natury, który jest specjalnie charakterystyczny dla mieszkańców miasta, stając się dla nich najlepszym wypoczynkiem — okaże się nieaktualnym i mało efektywnym spędzeniem czasu dla mieszkańców wsi: pana domu, który dzień w dzień przedępuje pola, susząc sobie na wiosennym słońcu głowę rolnymi kombinacjami. Zaoranej przy inspektach ogrodnicze również nie zaimponują pierwsze oddechy ziemi. Dla tych ludzi przyjemnością i wypoczynkiem będzie spędzenie kilku godzin w pokoju i spokoju, z książką w rękę; posłuchanie gramofonu; rozwiązanie krzyżówki; napisanie zaległego od miesiący listu; późniejsze wstanie i późniejsze pójście do łóżka, wreszcie wszelkie atrakcje towarzyskie.

Z drugiej strony, pani, rozrywana ustawicznie światowymi obowiązkami, ganiająca z herbatki na herbatkę, zarywająca noce z urzędu, lub przymusowego, czy dobrowolnego trybu życia — z rozkoszą spędzi świąteczne dni w spokojnym otoczeniu rodziny, a nawet we względnej samotności.

Zaharowanej w biurowej lub nauczycielskiej pracy samotnej kobiecie, miesiącami nie przestępującej progu domu w celach rozrywkowych „matce dzieciom” — będzie się z kolei należała towarzyska ekspansja na zewnątrz.

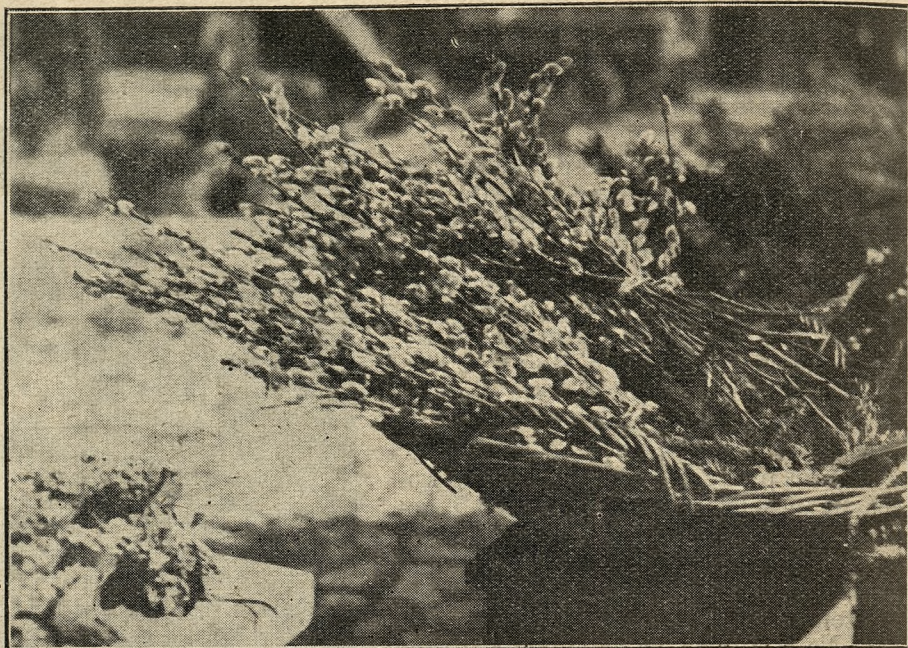
Już niektóre, zwykle dla innych — dla niej egzotyczne i odświeżające zabiegi toaletowe i fryzjerskie, włożenie modnej wizytowej sukni i kapelusza, spowodują wzmożenie wiary w siebie, odświeżające poczucie własnego wdzięku i młodości, radość z zobaczenia dawno niewidzianych znajomych i zapomnienie o wszystkich zadrach i popiołach codzienności w roztańczeniu i rozśpiewie zabawy.

We wszystkich planach świątecznych, które nie mogą być przecież nagłym i brutalnym wyzwoleniem z ciasnymi oczkami związanej sieci obowiązku, trzeba przedewszystkiem wziąć pod uwagę ewentualne finansowe, rodzinne, lokalowe i towarzyskie sprzeczności. Z długiego rejestru powinności należy wyłowić i ustalić pozycje, którymi możemy rozporządzać, które wolno zagarnąć dla siebie.

Dlatego też warto dokładnie rozważyć plany i projekty całej rodziny i bliższych znajomych oraz zbadać choćby w przybliżeniu, jakie nas mogą zaskoczyć niespodzianki w postaci wizyt, zaproszeń, przyjazdów i t. p.

Jeśli najbliżsi nasi (mąż, młodzież, dzieci, przyjaciółki) projektują jakiś spacer, wycieczkę, gromadnie pójście do znajomych, kina, czy teatru — zastanówmy się, o ile to nam odpowiada i zrobie przyjemność; a w razie, jeśli z tych czy innych powodów nie nas w tym kierunku nie rozplomienia, pomyślny, czego by się dało uniknąć bez możliwych urazów i scysyj.

Niezależnie więc od tego, czy żyjemy samotnie, czy w gronie rodziny — najlepiej w ostatnich dniach przedświątecznych porozumieć się z ludźmi, którzy będą stanowili przypuszczalnie lub nieuniknienie na-



Wiązanka z dostępnej wszystkim oranżerii — przyrody.

szere otoczenie świąteczne. To jedyny niezawodny sposób uniknięcia bałaganu. Nic gorszego od dnia, w którym wszyscy wstają późno nie dlatego, żeby programowo odespać szereg podrywań o świtaniu, ale żeby poprostu odwlec decyzję, co do dalszego spędzenia czasu.

Ta południowa (bo już nie ranna) niepewność zakwasza humor na cały dzień. Ludzie objają się o siebie bezcelowo, przerzucają luznemi i nieskoordynowanymi projektami, radzą się, zgóry postanawiając żadnych rad nie słuchać; wygryzają z programu cudze projekty, nie konkretyzując własnych; wreszcie siedzą godzinami przy świątecznym śniadaniu, żeby przepchać godziny i skonstatować wkońcu, że wogóle jest na wszelkie plany danego dnia za późno. Na spacer? już niedługo wieczór, zresztą może ktoś przyjdzie (na wsi — przyjedzie). Do kina? Jeszcze zawczesnie (a potem ktoś przeskodzi). Do znajomych? Czy warto? Pewno będzie nudno... W rezultacie ludzi masowo ogarnia obrzydzenie do siebie i bliźnich, a odświeżające stroje podkreślają jeszcze złe samopoczucie i odrzę do źle spędzonego dnia.

Wszystko to wynika stąd, że wypoczynek domaga się jeszcze może precyzyjniejszej organizacji, niż praca, bo instynktownie stawiamy mu większe wymagania.

Musimy — odpoczywając — czuć się nie tylko dobrze fizycznie, ale jeszcze nastawiamy swoje klisze psychiczne na wrażenia wyłącznie przyjemne. Zgóry przytem musimy skreślić z kategorii czynników pomocniczych — radosne poczucie spełnionego obowiązku, jest ono bowiem nieodłącznym atrybutem pracy.

Okazuje się więc, że i koło sprawy odpoczynku świątecznego trzeba myślnie choćby „pochodzić”, jak koło każdej innej sprawy naszego życia.

Nie żałujmy więc jeszcze tego ostatniego maleńkiego wysiłku — który, niepodjęty, przemarnuje nam wszystkie uprzednie. Pomyślny o tych świętach już nie z punktu widzenia „jadła, napoju”, tylko dokładnego sprecyzowania ich głębszego funkcjonalnego znaczenia: pokrycia nadszarpniętych uprzednią robotą sił — i zostawienia nikłego choćby ich salda na czas dalszych zmagañ wiosennych.

W. B.

WIELKANOC DAWNIEJ, A DZISIAJ

Wielkanoc — święto Wiosny, święto odrodzenia natury, zdawiadawna obchodzone uroczyście na świecie całym — nigdzie nie jest związane z tyłu tradycjami, co u narodów słowiańskich.

Cały Zachód zna jajko wielkanocne — symbol początku życia. Bombonjerki w kształcie jaj, jajka cukrowe i czekoladowe, nawet jajka farbowane, podobne do naszych kraszank, znają Niemcy i Francuzi. U Niemców szczególnie te jajka kolorowe koniecznie przynoszą zajaczki — zajaczki kartonowe, czekoladowe, ba! futerkowe nawet, gdyż młody zajaczek jest tam też symbolem wiosennego przebudzenia natury.

Jednak święcone — obficie zastawiony stół wielkanocny, na którym widzimy wszystko to, co nam wiosna przyniosła w darze — jest znane tylko narodom słowiańskim. Przedwojenna Rosja i Ukraina miały specjalne wielkanocne dania, zupełnie podobne do naszych i również przed spożyciem w cerkwiach poświęcane. Co z tej tradycji tam pozostało i czy tamedzni obywatele mają możliwość zadość uczynienia wymaganiom tej tradycji — przesądzać trudno.

Czasy się zmieniają, a z nimi zwyczaje; jednak tradycja obchodzenia Świąt Wielkanocnych jedzeniem i pićm pozostała u nas nienaruszona.

Oczywiście, nie słyszymy dzisiaj o „święconem“ dla całej okolicy, ba! dla całego powiatu i honorowych gości z dalszych okolic, jakie podobno było rok wcześniej zastawiane w Nieświeżu u Radziwiłła „Panie Kochanku“. Mieściło się ono w trzech największych salach zamkowych, przyczem dwie pierwsze były zapelnione mięsiwem, a trzecia ciastami i słodyczami. Pośrodku sal były urządzone sztuczne sadzawki: pierwsza była napełniona miodem, druga węgrzynem wytrawnym, trzecia — najprzedniejszym tokajem.

Na podwórcach zamkowych stały na olbrzymich stołach całe pieczone wieprze i woły, leżały góry pszennych placków i jaj, kielbas i boczków, serów i gomółek; stały kufy z piwem i wódką, z wiszącymi na łańcuchach blaszanymi kubkami i kusztyczkami.

Tam częstowano i karmiono poczty przybyłych panów i szlachty, a także biedotę z miasteczka i okolicy, radą raz do roku, właśnie w czasie Świąt Wielkiejnocy, uraczyć się niewidywanymi kiedyindziej przysmakami.

A kiedy po nabożeństwie w kaplicy zamkowej, goście się zebrali w sali, wnoszono olbrzymi pasztet i krajczy doręczał najstarszej osobie duchownej nóż do rozpoczęcia tego arcydzieła. Pasztet się rozkwierał i wychodził zeń ustrojony karzeł, z jajkiem wielkanocnym w ręku, uprzejmie kłaniał się na wszystkie strony i w imieniu gospodarza składał życzenia gościom, sławiąc jednocześnie ich enoty i gościnność pana domu.

Czasy się zmieniają — wątpię bardzo, aby dzisiaj ktokolwiek chciał tknąć pasztetu, w którym, choćby najkrócej, przebywał najmilszy karzełek. Lecz chęć wystąpienia, gościnność, pobudzająca do nakarmienia jaknajwiększej ilości przyjaciół i biedniejszych od siebie — pozostały w nas nienaruszone.

Zdala od Ojczyzny, na emigracji, wszędzie się urządza święcone dla najbiedniejszych członków kolonji. Wszędzie się zaopatruje ich rodziny w ciasto i wędliny, w sery i jaja święcone, w myśl tego, że w dniu tym uroczystym, w dniu Zmartwychwstania,

nie powinno nigdzie być głodnych i pokrzywdzonych. Tylko może ci nasi, co w Bolszewji pozostali, co nie zdążyli optować do Polski i nie mogą korzystać z opieki naszych placówek dyplomatycznych, którzy nawet o pomoc tych placówek starać się boją, aby nie trafić niewinnie do podziemi „Czeki“ — może ci marzyć tylko będą o smacznej kielbasie, placku z rodzynkami, o święconem jajku i cukrowym baranku — a nie zobaczają ich w rzeczywistości.

Z lat dziecinnych przypominam sobie, jak się takie Święta Wielkanocne obchodziło na wsi. Już od pierwszego tygodnia postu indyki, przeznaczone na stół, karmiono specjalnie kłuskami na mleku i orzechami włoskimi; cielęta sześć tygodni pojono czystym mlekiem; urządzano specjalne polowania nie tylko na głuszce i cietrzewie, lecz i na zające, gdyż prawa, ograniczające czas polowania na nie, nie istniały.

Na dwa tygodnie przed świętami przywożono z miasta wszelkie bakalje i korzenie; lecz stosunkowo nie dużo było tego: każdy dwór żył pod znakiem samowystarczalności, i kupowano tylko to, czego w żaden sposób w domu zrobić się nie dało.

Przy dużej liczbie służby i różnej kategoryi i nazwy pomocnic domowych, sama pani, rzadko sprawami kuchennymi się zajmująca, w tym czasie raczyła jeżeli nie własnoręcznie pomagać, to we własnej osobie być obecną przy robocie mazurków, tortów i babek.

Ba! nie tylko pani: w rodzinie moich krewnych sam pan domu, dosyć zwykle groźny, w dodatku piastujący niebyłejaką godność marszałka szlachty — zjeżdżał w wielki czwartek do dóbr swoich, których rządy zwykle jego małżonka sprawowała. Zamknięty z kucharzem, sam raczył przyrządzać i piec tajemniczą babkę, od jego imienia Leonardówka zwaną. Udanie się lub nieudanie tej babki stanowiło o udaniu lub nieudaniu całych Świąt Wielkanocnych, gdyż humor pana odbijał się na rodzinie i gościach. O tem arcydziele jedno tylko wiadomo, że na wykonania jego szło nie mniej, niż cztery kopy samych żółtek.

Cały wielki tydzień gotowano i pieczono, jednak z takim wyliczeniem, aby, od wielkiej środy zaczynając, każdy z domowników mógł odwiedzić kościół, na szczęście o parę staj od dworu się znajdujący.

W wielką sobotę już od rana nakrywano do stołu. Nie w jadalni, przez którą trzeba było przechodzić: zwyczaj kresowy nakazywał, aby poza czterema lub pięciu dziennymi posiłkami, resztę czasu pokój ze święconem był zamknięty. Więc duży pokój na końcu domu cały zastawiano stołami i nakrywano je zwieszającymi się do ziemi obrusami, obszytymi festonami likopodjum.

Po środku głównego stołu wznosiła się piramida z zielonej rzeżuchy, z olbrzymią głową dzika, lub jej imitacją ze zwykłego wieprza, a na jej szczycie baranek z masła ze złoconymi różkami i czerwoną chorągiewką. Wkoło łokciowe, a nawet wyższe baby i sę-kaczki, lukrowane na różne kolory i jeszcze bardziej kolorowymi maczkami i kwiatkami cukrowymi ubrane. I każda baba, każdy tort, mazurek, placek czy jajecznik, ozdobiony gałązką barwinku, lub chociażby wiecznie zielonych borówek.

Olbrzymie indory i jeszcze większe od nich szynki, głuszce lub cietrzewie w piórach, pasztety ze zwierzyny, prosie z nieodzownem jajkiem w pyszczku. Stosy jaj farbowanych, różne sosy i salaty.

A na bocznych stołach i w koszach, na ziemi ustawionych: kielbasy, wędzonki, sery, placki dla cze-ladzi, cały baran lub cielak, zaledwie się mieszczący w olbrzymiej niecce — wszystko to ma być rozdane

nietylko tym, co są na pańskim stole, lecz i tym, co mają rodziny, co są na tak zwanej ordynarji. Administracja i służba osobista będzie jadła to samo, co państwo i goście; wszak tego jest tak dużo, że i tak się do przewodów nie skonsumuje, a ciasta dotrważą do Zielonych Świątek.

Przed zachodem słońca zajeżdża ksiądz proboszcz z organistą i święci wszystkie te obfite dary Boże. Do bryczki mu się pakuje najładniejszą babkę i najsmaczniejszy mazurek, no, i kilka hiacyntów lub tulipanów z cieplarni; organista też nie jest pokrzywdzony i odpowiednio do swego stanu i gustu przysmaki dostaje.

A potem ostatnie porządki i wszyscy wyruszają na rezurekcję, po której już post nie obowiązuje.

Jednak jedzenie mięsa w wielką sobotę uważano za zwyczaj rosyjski i conajwyżej szklanka herbaty z jakąś dobrą babką służyła za posiłek przed snem. Apetyty chowano na pierwsze święto.

No, a jak jest teraz? Oczywiście, w każdym kresowym domu jest i indyk, i wyborna szynka, i ad hoc wypojone cielę. I pani wydobywa dawne babczyne sekreta bab i mazurków. Lecz znikły te zbytki, ten szeroki rozmach; służby niedużo — rzadko gdzie jest stara, oddana rodzinie, jakby część tej rodziny stanowiąca. I licznych zjazdów coraz mniej. Najbliższa rodzina, najbliżsi sąsiedzi.

Kto wie, czy jeszcze za lat kilkadziesiąt młode pokolenie nie będzie słuchało o naszym święconem z równem zdziwieniem, jak my o wielkanocnych radziwiłłowskich fetach w Nieświeżu. *Pani Elżbieta.*

T Y K W A

Zima się kończy — wiosna już za pasem, a wraz z nią troska o upiększenie balkonów i ogródków.

Chcę tu pomówić o mało rozpowszechnionej roślinie, wybornie nadającej się do osłaniania altanek, płotów i wreszcie balkonów.

Jest to tykwa — roślina niesłychanie dekoracyjna, rosnąca bardzo szybko i stanowiąca prawdziwą ozdobę przez długie miesiące. Oprócz innych, ma i tę dobrą stronę, że w coraz odmienny sposób, w coraz to innej formie wabi nasze oczy.

Wiosną ozdobę stanowią jasno-zielone liście; w pełni lata tykwa obsypana jest kwiatami o gorącej żółtej barwie, a jesienią, aż do zimy, raduje nas dziwnego kształtu owocami.

Jeśli do powyższych zalet dodamy wielką łatwość hodowli tej rośliny, musimy przyznać, że w zupełności zasługuje na to, aby zajęła jedno z naczelných miejsc w spisie roślin pnących.

Tykwa jest rośliną jednoroczną, blisko spokrewnioną z dynią i ogórkiem. Łodygi jej wyrastają wysoko, lub ścielają się po ziemi, albo, jeżeli nie natrafią na podporę, pną się do góry zapomocą wąsów. Wąsy te są duże i bardzo skręcone same przez się, co też przyczynia się do dekoracji. Duże, jasno-zielone liście, pokryte włoskami, są szorstkie w dotknięciu i sztywne stoją na długich ogonkach.

W połowie lipca z nasady liścia wykwitają piękne, o gorącej, żółtej barwie, kwiaty. Od kwiatów ogórka różnią się tylko wielkością (są znacznie większe) i intensywnością barwy; co do kształtu, są takie same. Przekwitają szybko, ale ponieważ ukazuje się ich wielka moc, więc przez kilka tygodni rośliny tworzą jakby bukiet. Potem kwiaty zamieniają się w owo-



Różne gatunki tykwy.

ce, które prawie w oczach rosną. Są one miękkie, ale w miarę dojrzewania stają się twarde, dochodząc do twardości drewna. Dają się przechowywać przez długie lata i odznaczają się wielką różnorodnością kształtów i barwy. Najrozmaitsze kształty spotykamy nawet na tej samej roślinie. Jesienią w sklepach z kwiatami spotyka się często w witrynach tykwy w najrozmaitszych postaciach, więc: minjaturowe dynie o barwie złocistej lub żółtej; pomarańcze; pokręcone syfony i flaszki; jajka i t. p.

Owocowanie rozpoczyna się w połowie lipca — jest to okres najbujniejszego wzrostu rośliny. Dynia zmienia się poprostu w oczach. Te ciągłe zmiany czynią tykwę rośliną ciekawą; wciąż nowe, złociste, czy białe owoce zwracają na siebie uwagę.

Dla miłośnika roślin jest to nietylko dekoracja balkonu, ale niustające widowisko: co rano ukazuje się coś nowego; mierzyć prawie można, ile przez noc pędy urosły.

W połowie września następuje pewne zahamowanie wzrostu, ale roślina pozostaje nadal świeża i piękna. Nawet, gdy większość kwiatów już zamarła, kiedy z dzikiego wina opadają liście, a z pnącej fasoli pozostają tylko suche strąki — tykwy wciąż są jeszcze prawdziwą ozdobą i zieleń ich liści pozwala zapomnieć o zbliżającej się zimy.

Dopiero 3^o-wy przymrozek niszczy całą krasę tykwy. Liście zwarzone smutnie zwisają, choć wczoraj jeszcze dumnie się pięły. Ale i wtedy pozostają nam na pociechę śliczne owoce: zgrabnie ułożone na kloszu, są prawdziwą ozdobą jadalnego pokoju. Co do samej pielęgnacji, to tykwa jest niesłychanie mało wymagająca; możemy otrzymać dobre rezultaty bez wielkiego trudu. Wymaga tylko jednego: południowej, lub południowo-wschodniej wystawy.

Wysiewamy ją po 15-ym maja — wprost w grunt, lub do skrzynek, jeżeli ma stanowić ozdobę balkonu. Ziemi wymaga bardzo żyznej, gdyż skutkiem szybkiego wzrostu tykwa jest bardzo łakoma na pokarm.

Starania posiewne polegają na utrzymaniu ziemi w stanie pulchnym i na utworzeniu naokoło rośliny wgłębienia, aby woda nie spływała. Podlewać należy często i obficie. Podlewanie co 2 tygodnie rozcieńczoną gnojówką lub nawozami azotowymi znakomicie przyspiesza wzrost rośliny.

Komu zależy na wyhodowaniu specjalnie pięknych egzemplarzy, niech zasieje tykwę do małych

doniczek w połowie marca i trzyma je w temperaturze od 8 — 10 st., na bardzo słonecznym oknie. W połowie maja będą gotowe do wysadzenia spore flance i tym sposobem okres wegetacyjny rośliny przedłużymy o kilka tygodni.

Tykwa rośnie bardzo szybko; pędy dochodzą do czterech i więcej metrów długości. Czepia się zapomocą wąsów, trzeba tylko nadać jej odpowiedni kierunek i przywiązać pierwsze pędy zapomocą rafji, czy tyka.

Jeśli jest posadzona na balkonie z żelaznej kraty, daje sobie sama radę. Można też puścić tykwę po ścianie wzdłuż okna, dając jej kratkę, czy kołki do podpory.

Odmian tykw jest bardzo wiele, istnieją jednak 2 zasadnicze: 1 — *tykwa ozdobna* (*Cucurbita pepo* var.) i t. zw. *tykwa pielgrzymów* (*Cucurbita Laquearia*. *Laquearia* vulg.) — wszystkie inne odmiany są pochodniami od powyższych.

Owoce odmian, pochodzące od tykwy ozdobnej, są mniejsze, ale bardziej rozmaite, np. miniaturowe meloniki, białe, kształtne jajka, pomarańczki i t. p. Tykwy-pielgrzymy mają owoce znacznie większe, wydłużonego kształtu (poprzednie są bardziej okrągłe); zabarwione są przeważnie kremowo. Najciekawszą odmianą będzie tu „Maczuga Herkulesa“, dochodząca do metra długości.

Najpraktyczniej jest nabyć nasiona mieszane, bo wtedy otrzymamy najrozmaitszego kształtu dyńki vulgo tykwy, osiągniemy więc to, o co nam chodzi — *maksimum* dekoracyjności. *Marzenna Saryusz-Stokorska.*

SZPARAGI ŻÓŁKNA

Bardzo często zwracają się do mnie zaniepokojone członkinie Koła Miłośników Ogrodnictwa, a nawet obce zupełnie posiadaczki roślin pokojowych, z prośbą o radę, lub z wołaniem o ratunek, bo ich szparagi pokojowe (*Asparagus Sprengeri*) żółkną i traca listki.

Objaw to niemiły, ale nie groźny, a powtarzający się corocznie u roślin, trzymany przez zimę w miejscu niezbyt słonecznym i w pokoju o umiarkowanej temperaturze. Roślina zapada wtedy w częściowy okres spoczynku, który jest połączony z dążeniem do ograniczenia funkcji życiowych, a więc asymilacji, pobierania i parowania wilgoci. Jeśli tedy listki, a nawet całe pędy żółkną i zamierają, to trzeba ograniczyć polewanie, dopóki nie zaczną się pod wiosną ukazywać z karpny nowe pędy. Naturalnie, mówię tu wyłącznie o roślinach, skądinąd racjonalnie pielęgnowanych i zdrowych, bo jeśli wchodzą w grę błędy zasadnicze, wywołujące chorobowy stan szparagów, to odrodzenie się ich na wiosnę może być wątpliwe.

Im więcej słońca, im cieplejsze pomieszczenie będą miały szparagi w zimie, tem słabiej wystąpi żółknięcie, gdyż okres spoczynku nie nastąpi wcale, albo przejdzie niepostrzeżenie.

Gdy jednak roślina zacznie się budzić do życia, należy ją przesadzić w świeżą, żywną ziemię, zasobną w próchnicę, i po upływie kilku dni „dietetycznych“ zacząć obficie polewać, a nawet zasilać. Szparagi potrzebują dużo wilgoci, więc, w przeciwieństwie do innych roślin, nawet pozostawianie przez kilka godzin dziennie wody na podstawkach widocznie im dogadza. Pozatem są bardzo wdzięczne za częste zraszanie

pędów — conajmniej dwa razy dziennie w okresie letnim.

Przy przesadzaniu, niektóre miłośniczki przez nieświadomość usuwają białe bulwki, obficie tworzące się na korzeniach. Bulwki te — to spiżarnia rośliny, gromadząca zapasy pożywienia i wilgoci, nie należy więc pozabawiać rośliny tych organów, o ile są zdrowe, jędrne, białe.

Jeżeli pędy szparaga są silnie opanowane przez tarczki, czyli mszyce nieruchome, pokryte twardą, wypukłą tarczką brązową, to bez wielkiej straty można obciąć po przesadzeniu wszystkie pędy, a ukazujące się młode chronić od szkodnika, obmywając często wodą z dodatkiem wywaru tytoniowego, albo roztworem Aphimortu. Jeżeli tarczki jest niewiele, można je zniszczyć przez mechaniczne zmywanie ich starą szczoteczką od zębów, maczaną w podanych wyżej roztworach. *Stan. Schönfeld.*

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SOSY DO ZIMNYCH MIESIWI.

Sos majonezowy. Dwa żółtka ugotowane na twardo, przetrarte przez sitko, dwa żółtka surowe, łyżeczka (od kawy) soli i sok z pół cytryny; utrzeć to wszystko na miseczce, dalej ubijać trzepaczką od kremu, lejąc nitką pół kilo najlepszej oliwy nicejskiej. Od czasu do czasu wciskać potrochu soku cytrynowego. Sos powinien być gęsty, jak świeżo ubite masło. Gdyby się w robocie sos zwarzył, włożyć do czystej miseczki jedno świeże żółtko i dodawać potrochu sosu zwarzonego, wciąż ucierając w jedną stronę, aż się znowu połączy i zgęstnieje. Czasem też pomaga wlanie do sosu małego kieliszka bardzo zimnej wody i dokładne jej wymieszanie z sosem. Taki sos, prawdziwy „provençal“, jest podstawą większości zimnych sosów, szczególnie do szynki i ozora niezastąpiony.

Sos tatarski. Usiekać lub przepuścić przez maszynkę kilka korniszonów, łyżkę kaparów, dodać dwie łyżeczki utartego chrzanu, skropionego octem na parę godzin przed użyciem, aby nieco zbytniej ostrości stracił. Zmieszać z paru łyżkami sosu majonezowego. Wcisnąć sok z całej cytryny, wsypać łyżkę cukru-pudru, na koniec noża białego pieprzu, wreszcie wlać pół szklanki zimnej, jak lód, wody. Wymieszać dokładnie i wynieść na chłód aż do chwili podania. Wyborny do rostbefu, rolady, pieczonej wieprzowiny i prosięcia.

Sos musztardowy z ogórkiem. Dwie łyżeczki (od herbaty) suchej musztardy angielskiej utrzeć z jednym gotowanym i drukiem surowym żółtkiem (gotowane powinno być przetrarte przez

BŁYSKI MYŚLI PRZEDŚWIĄTECZNE.

*Miło jest z przyjaciółmi obsiąść stół dokoła,
Lecz milej, kiedy troska nie zachmurzy czoła.*

*Miło jest wypić winem zdrowie naszych gości,
Lecz mądrzej jest przykrócić cugle rozrzutności.*

*Zjeść dobrze, dobrze wypić lubi człek przeciętnie,
Lecz nie wolno zapomnieć, że żyć trzeba skrzętnie.*

*Któżby nie chciał świętować hucznie i obficie?
Lecz, niestety, po świętach przyjdzie zwykłe życie!*

*Miałbym wysupłać na Święta ostatnie grosiwo —
Do P. K. O. je zanięś na książkę, co żywo!*

sitko). Dodać szklankę gotowego sosu majonezowego. Rozprzecznić szklanką rosółu i sokiem z całej cytryny. Świeży, młody ogórek, obrany z łupinki i pokrajany w drobnociębną kostkę, zmieszać z sosem i wynieść na chłód do chwili podania. Rosół można zastąpić przegotowaną i ostudzoną wodą. Sos ten nie potrzebuje być gęsty; specjalnie smakuje z cielęciną, indykiem, schabem, czyli mięsem białym. W braku świeżego, można doń użyć dobrego, kiszzonego ogórka, jednak prawdziwie smaczny jest tylko z ogórkiem świeżym.

Sos groseille. Piekąc różne białe mięsa na święcone: cielęcinę, indyka, schab, prosię i t. p. — pozostałe na brytfannie sosy zlać w kamienny garneczek i wynieść na chłód. Powinny się tam zgaletować. Zdjąć z nich jaknajdokładniej wszelki tłuszcz. Dwie szklanki takiej galarety rozpuścić na blasze, dodać do niej szklankę galaretki porzeczkowej, na koniec noża białego pieprzu i spory kieliszek madery. Ubić wszystko razem trzepaczką, rozgrzać mocno, przelać do sosjerek. Stygnąć, znowu zgęstnieje. Wyborny sos do cietrzewia, głąszca, sztufady, sarniny, rostbefu — czyli wogóle do mięs czarnych.

SALATY DO ZIMNYCH MIĘSIW.

Amerykańska salata ze świeżej kapusty. Kilową, ściśłą główkę białej kapusty uszatковать cienko, wrzucić na osolony wrzątek, dać zawrzeć raz tylko, aby kapusta nie straciła jędrności. Odląć na sito, przelewać zimną wodą (jeżeli można — z lodem), aż zupełnie ostygnie. Wziąć szklankę najlepszej, gęstej, kremowej śmietanki, łyżkę angielskiego sosu „Worcester“, dobrą łyżkę cukru-pudru i do smaku parę łyżek prawdziwego, winnego octu. Sosem tym polać kapustę, wymieszać dokładnie i wynieść na sześć godzin na chłód. Jest to oryginalny przepis amerykański. Salata taka jest szczególnie pożądana tam, gdzie wczesną wiosną ani pędzonej cykorji białej, ani zielonych, inspekcyjnych sałat dostać nie można.

Salata mieszana. Gotując rosół mięsny lub barszcz, włożyć do smaku podwójną ilość włoszczyzny: marchewki, pietruszki, selerów, porów i kapusty włoskiej. Oddzielnie ugotować kilka kartofli, jednak tyle tylko, aby ich nie było więcej od wszystkich jarzynek, razem wziętych. Pokrajać wszystko to w drobną kostkę, dodając ogóreczek kiszony lub świeży, również drobno pokrajany, i niedużą puszczykę konserwowanego groszku. Wymieszać te jarzynki z sosem majonezowym i szklanką ostudzonego rosółu, w którym się gotowały. Można też dodać łyżkę cukru, lub domowej ostrej musztardy — przyprawa salaty zależy zupełnie od gustu gospodyni. Salaterkę wyłożyć listkami młodej salaty, jarzyny w niej ułożyć w ładną piramidę i wynieść na chłód aż do chwili podania. Liści salaty zielonej nie solić, gdyż zwiędną.

Salata z orzechami. Kilo kartofli ugotować w łupinkach, obrać, dopóki gorące, i pokrajać w kostkę. Dwa ogórki kiszone obrać z łupinek i pokrajać w paski. Cztery jaja ugotować na twardo, żółtka wybrać, a białka, pokrajane w cienkie paski, zmieszać z kartoflami i ogórkiem. Zalać te jarzynki łyżką oliwy i paru łyżkami rosółu z ogórków, aby się w tym sosie przechowały wilgotne. Żółtka przetrzeć przez sito, utrzeć na misce z łyżeczką soli, łyżką cukru, łyżką musztardy francuskiej, dolewając potrochu pół szklanki najlepszej oliwy i tyleż winnego octu,

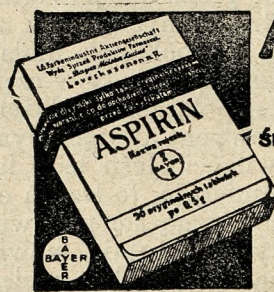
lub sok z dwóch dużych cytryn. Dwadzieścia deka orzechów włoskich obrać z łupin. Kilka najładniejszych połówek pozostawić do ubrania, resztę utłuc, lub zemleć jaknajdrobniej i dodać do ucieranego sosu. Nakoniec wlać do sosu filiżankę dobrej, niezbyt kwaśnej śmietany i wymieszać wszystko razem. Połowę tego sosu zmieszać z przygotowanymi kartoflami. Ułożyć na salaterce. Przykryć resztą sosu. Ubrać połówkami orzechów i wynieść na chłód na godzin parę.

Salata z selerów. Duże, równe, korzeniowe selery ugotować w łupinkach, jak kartofle. Obrać i pokrajać w cienkie, niezbyt małe płatki. Lekko osolić, polać obficie oliwą i trochę dobrego winnego octu, lub soku cytrynowego; pozostawić tak na godzin parę. Tymczasem ugotować kilka jaj na twardo i otworzyć małą puszczykę sardeli w oliwie (Anchois à l'huile). Selery ułożyć w salaterce, wkoło przybrać połówkami jaj, na każdej połówce ułożyć po pasku sardela. Selery pokryć paru łyżkami majonezowego sosu i podawać do zimnych mięs. Można też do tak przyrządzonych selerów dodać połowę ugotowanych w łupinach, obranych i pokrajanych w cienkie płatki kartofli, lub parę jabłek-renet, w cienkie plasterki pokrajanych. Szczególniej ta ostatnia kombinacja jest bardzo smaczna.

TORT KRUCHY.

Pół kilo mąki, czterdzieści deka masła i trzydzieści deka cukru-pudru zagnieść na kruche ciasto; gdyby się nie chciało łączyć, a wciąż kruszyło, dodać parę łyżek śmietany. Wynieść na godzinę na chłód. Rozdzielić na trzy części. Rozwałkować je na równe krążki, upiec do silnego zrumienienia. Dwa krążki posmarować marmeladą owocową: morelową, rabarbarową, śliwkową lub jabłeczną. Przykryć trzecim krążkiem. Obrówać ostrym nożem brzegi. Przycisnąć deseczką i ciężarkiem, zostawić tak na całą noc. Nazajutrz polukrować pomadką nawpół płynną i gęsto posypać kranami w paski, słodkimi migdałami.

Na pomadkę ugotować szklankę cukru z pół szklanką wody i łyżką dobrego, winnego octu. Gdy w gotującym się syropie zaczną się pokazywać perelki, próbować łyżką: jeśli się syrop ciągnie w nitkę, natychmiast go odstawić i prędko ucierać drewnianą łyżką, wciskając sok z pół cytryny. Można do tej pomadki dodać trochę skórki cytrynowej, lub parę kropel esencji pomarańczowej. Skoro tylko zaczną bieleć, zaraz smarować, gdyż po zupełnym stężeniu nie będzie miała połysku. *Pani Elżbieta.*



Aspirin

w tabletkach

środek uśmierczający ból.

Wyjątkowo skuteczny
we wszelkiego rodzaju
zazębieniach

i bólach reumatycznych.

Do nabycia we wszystkich aptekach.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.